Świat
Ilustrowany dodatek tygodniowy
Nr 11 Głosu Wielkopolskiego

POZNAŃ, 14 III 1948 r. ROK III

Nowe filmy amerykańskie

Tak się dziwnie złożyło, że poza jednym filmem angielskim („Tajemniczy nieznajomy") i wznowioną komedią szwedzką o charakterze rewiowym (z dość niewybrednym gatunkowo humorem) pt. „Wesoły pensjonat" na pozostałych ekranach większych kin poznańskich królują od kilku tygodni niepodzielnie lekkie amerykańskie filmy rozrywkowe w rodzaju „Kulisy wielkiej rewii", „Dwulicowa kobieta" i „Wieczna Ewa", która poza kilku racami błyskotliwego dowcipu i piękną wystawą (zwłaszcza w filmie pierwszym) nie pozostawiają po sobie bardziej trwałych wspomnień emocjonalno-artystycznych (wyłączając... kasowe) i przemijają dość szybko „z wiatrem". Nawet magnes wielkich gwiazd i nazwisk słynnych reżyserów nie posiada pełnego pokrycia w realizacji obrazów, widocznie — mimo ucieczki raczej przeciętnego widza od ponurych widm okupacji w sferę humoru i baśni — zmienił się gust i wymagania współczesnych kinomanów, zwłaszcza zaś tych, którzy przede wszystkim w sztuce filmowej szukają zawsze rzetelnych wartości estetycznych i moralnych.

Greta Garbo i Melvyn Douglas, który po raz trzeci jest partnerem filmowym wielkiej Szwedki, tym razem w powojennej komedii pt. „Dwulicowa kobieta".

„Kulisy wielkiej rewii" to efektowny film rewiowo-taneczny reżyserii Roberta Z. Leonarda z dość zręcznie wmontowanym dramatem życiowym trzech gwiazd słynnego music-hallu „wielkiego Ziegfelda" w Nowym Jorku, które różnymi drogami dążą do sławy i szczęścia rodzinnego, starając się zespolić harmonijnie te dwie tak odrębne sprawy, jakimi są scena i ognisko domowe. Różnie układają się losy bohaterek, które odtwarzają: zawsze rozśpiewana Judy Garland, czarnowłosa piękność posągowa Hedy Lamarr i platynowa blondynka Lana Turner. Staranna oprawa muzyczna nie zawsze harmonizuje z ekstrawagancką nieraz egzotyką kostiumową i dekoracyjno-taneczną, ograniczającą się do dość pretensjonalnego chodzenia po stopniach.

„Dwulicowa kobieta" ze słynną „boską Gretą" w reżyserii Cukora, po rzekomych triumfach w Paryżu i w Pradze czeskiej zawitała i na nasze ekrany, nie stanowiąc jednak przebojowego obrazu „wielkiej Szwedki", która na 30 filmów zrealizowała tu swą drugą z rzędu komedię, przypominając się szerokim entuzjastom jej talentu. Greta Garbo gra w tym filmie rolę Karin Borg — nauczycielki jazdy na nartach, która poślubiwszy przystojnego mężczyznę (Melvyna Douglasa) nie wie, że posiada on w Nowym Jorku piękną przyjaciółkę (Constance Bennet). Chcąc odzyskać jego miłość — udaje swoją własną siostrę Karinę — kobietę modną i zalotną. W tej roli znacznie bardziej podoba się mężowi, który odnajduje w nieznajomej... swą żonę.

Przyzwyczailiśmy się w czasie wieloletniej kariery Grety, którą rozpoczęła w roku 1925 jako dziewiętnastoletnia nieznana Ameryce początkująca artystka — do jej popisowych ról dramatycznych („Anna Karenina", „Pani Walewska". „Dama Kameliowa"", „Królowa Krystyna") One to uwieczniły jej wysoki kunszt aktorski w pamięci widzów filmowych całego świata. Rewolucja filmu dźwiękowego nie przygasiła gwiazdy Grety gdyż artystka ta opanowała biegle język angielski, odnajdując zarazem nowe akcenty dramatyczne, nieznane sztuce niemej. Po wojnie zaczęła Greta Garbo próbować swych sił także w komedii na wzór słynnej Claudette Colbert, a w „Dwulicowej kobiecie" widzimy ją w nowej zupełnie kreacji, gdy pływa, jeździ świetnie na nartach, tańczy rumbę Czika-Czoka, w czym odznacza się dużą dozą temperamentu, swobody i naturalności, wymagającej dużego wyczucia nowej roli. Nie mniej — wydaje się nam mimo braku poważniejszych zarzutów — że nie jest już to ta sama, dawna Greta, która eksperymentując w komedii nie znajduje się na swym właściwym terenie, a z dawnych orlich wzlotów swego niewątpliwego talentu zeszła do łatwych i szablonowo efektownych w tematyce „gierek". Film więc rozczarowuje raczej dawnych entuzjastów „Białego Południa Szwecji".

Stosunkowo najciekawszym, choć nie mniej „naciągniętym" tematycznie, lecz zato szczęśliwie wyważonym w proporcjach humorystycznych — jest film pt. **„Wieczna Ewa"** z Deanną Durbin,

Lana Turner, Judy Garland, Hedy Lamarr w otoczeniu „girlsów" w filmie „Kulisy Wielkiej Rewii". Sztuczny blichtr, pusta reklama i seryjna produkcja urody na zawołanie — oto zdobycze współczesnej amerykańskiej sztuki filmowej, której entuzjastycznie hołduje. — Nowy Świat.

bohaterką przedwojennej „Pensjonarki" i z Charlesem Laughtonem w rolach głównych. Znów po 10 latach ta sama roześmiana i rozśpiewana radośnie Deanna Durbin czaruje widzów, mimo że posiada za sobą już 18 filmów... męża i synka, gdyż wyszła w czasie wojny za mąż, przedzierzgając się z „pensjonarki" w powabną kobietkę. Deanna w swej roli zastępuje w akcji filmu narzeczoną syna znanego milionera amerykańskiego i robi to tak uroczo, że przykuty do łoża boleści papa na jej widok powraca szybko do zdrowia, a sama Ewa po wielu perypetiach staje na ślubnym kobiercu dystansując swym wdziękiem właściwą narzeczoną. Z piosenek przez nią śpiewanych wyróżniają się: „Walc z baletu śpiących piękności" Czajkowskiego, „Idę do domu" — Dvoraka, „Viene la Conga" — Valdestiego, „Clavelitos" — Valverde'a i „Lord's Prayer" — Malotte'a.

Reżyser filmu — znany realizator europejski Henryk Koster przystępując do obsadzenia tej komedii filmowej, dokładnie rozważył rolę, znajdując do nich odpowiednich wykonawców. Ojca pana młodego gra kapitalny Charles Laughton, który udowodnił powtórnie ogromną skalę talentu aktorskiego, począwszy od niezapomnianych ról dramatycznych (Henryk VIII) poprzez filmy sensacyjne aż do komedii. Niemniej i tutaj podskoki taneczne powstałego z łoża boleści starca, w pojęciu europejskim nie wywołuje dziś oceny entuzjastycznej. Stosunek jednak zasadniczy między starcem a domniemaną narzeczoną syna odtworzony został z „łezką" szczerego sentymentu. Partner Deanny — Robert Cummings, znany nam z jednego filmu pt. „Carrie kłamie" wykazuje w tej roli szczere poczucie humoru, a jego wesołe przygody i krótkotrwałe nieporozumienie stanowią barwną treść filmu.

Filmy te nie budzą jednak pełnego rezonansu artystycznego — mimo pewnych walorów rozrywkowych — wolimy więc czekać raczej na tego rodzaju obrazy amerykańskie, jak oglądana ostatnio na pokazie prasowym **„Pani Miniver"** z Greer Garson i Walter Pidgeon'em — bohaterami filmu „Curie-Skłodowska" w rolach głównych, a zwłaszcza na najnowsze obrazy francuskie (np. „Walka o szyny").

T. Ski

DOC. DR KAZIMIERZ KAPITAŃCZYK

KŁOPOTY W ŚWIECIE ATOMU

Niniejszy felieton jest zakończeniem gawęd o atomie. Trzeba jednak zaznaczyć, że tajemnice i cuda świata atomów to piękny owoc 50-letniej pracy ludzi nauki. A u kolebki tej wiedzy stało tych dwoje: Maria Skłodowska i Piotr Curie. Oni to zapalili światło promieniotwórczości.

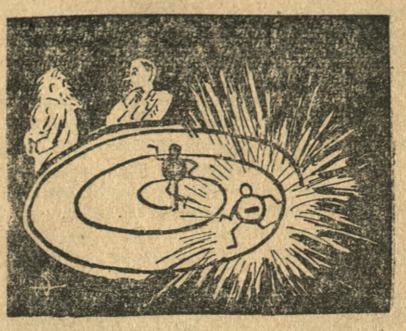

Właściwie powinniśmy być zadowoleni „skoro już dowiedzieliśmy się jak zbudowany jest atom, przynajmniej atom wodoru. Być może, że i lord Rutherford, który stworzył pierwszy model atomu, był zadowolony i kto wie, czy nie zdziwił się nieco, gdy fizycy z punktu zaprotestowali. I chociaż uczynili to niewątpliwie wytwornie i spokojnie, ale niemniej stanowczo.

„Model atomu Rutherforda stoi w sprzeczności z tym, czego uczy fizyka — twierdzili. Ruch po kole jest według zasad mechaniki ruchem niejednostajnym, bo przecież w każdej jednostce czasu

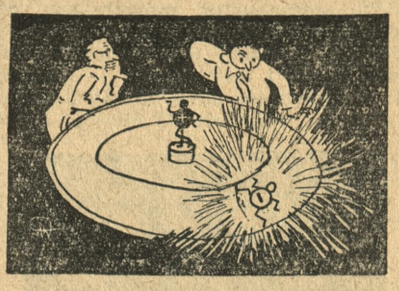

ciało poddane ruchowi po krzywej zmienia kierunek swego biegu. W przypadku modelu atomu ciałem poruszającym jest elektron ,czyli ujemny ładunek elektryczny. Tymczasem nauka o elektryczności znowu uczy, że jeśli jakiś ładunek elektryczny poddać trwałemu ruchowi niejednostajnemu, wtedy oddaje on część swej energii w formie promieniowania elektro-magnetycznego, np. pod postacią światła. Zatem atom Rutherforda powinien stale świecić i jego elektron, tracąc stale część swej energii (a więc i szybkości), powinien zbliżać się coraz bardziej do ośrodka masy atomowej, którym jest jądro. Elektron krążyłby po spirali, zbliżając się coraz bardziej do jądra i wreszcie wpadłby na nie."

Wtedy zabrał głos młody wówczas Niels Bohr, fizyk i uczeń Rutherforda, Duńczyk, z pochodzenia.

„Wszystko się zgadza — oświadczył — bo inaczej sprawa nie ruszy w ogóle z miejsca. Elektron krąży naprawdę wokół jądra, wokół ośrodka masy atomowej". „No, a promieniowanie?".

Elektron nie promieniuje, gdy wiruje po torze jemu przepisanym. Elektrony jak planety mają tory wyznaczone, wewnętrzne i bardziej zewnętrzne, bliższe dalsze. Jak w układzie słonecznym. Między torami jest pustka, podobnie jak między np. Uranusem a Neptunem. Po tych zakazanych przestrzeniach nie wolno nikomu się włóczyć. Elektrony zaś, które biegną po swoich torach nie świecą — to jest nasze założenie."

„To są przepisy policyjne, Panie Bohr, to nie jest jednak fizyka. Musi Pan jednak przyznać, że czasami atom świeci! Aha! Skądże więc bierze się ta energia świetlna?"

„Zgoda, Panowie! Każdy z torów elektronowych odpowiada właściwemu zapasowi energii, pewnemu jej poziomowi. Gdy elektronowi przydzielimy dodatkową porcję energii, wówczas podnosimy go jakby na wyższy poziom, przesuwamy z bliższego toru na dalszy. Torom dalszym od jądra odpowiadają wyższe wartości energii, toteż przydana elektronowi energia zużyta zostaje na jego przeniesienie na ten wyższy poziom. Tak jak byśmy napięli sprężynę, przyłożoną siłę zużywamy na zagięcie taśmy elastycznej. Trwa ona w niej utajona aż zwolnimy zaporę — sprężyna wtedy odpręża się i oddaje energię. Podobnie zachowuje się i elektron, gdy

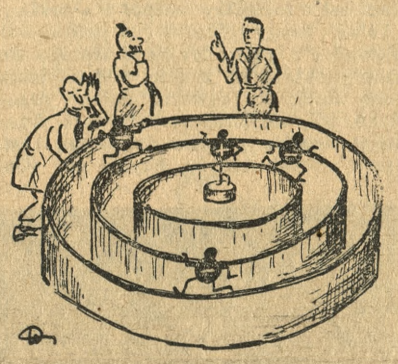

przestanie działać przyczyna, jego wyniesienia na „wyższy" (dalszy) tor. Przeskakując z powrotem na „swój" tor wypromieniowuje pobraną uprzednio energię — świeci wtedy. I to światłem o określonej fali, o określonej barwie".

Wspaniała idea Nielsa Bohra, nawiązująca zresztą do płodnej pełnej polotu teorii kwantów niedawno zmarłego prof. Maxa Planck'a nie usunęła jednak wcale kłopotów i trosk atomowych. Trudno byłoby tu rozwijać wszystkie te ciekawe i atomową rzeczywistość pogłębiające owoce głębokiej wiedzy. Zatrzyma nas tylko jedna sprawa.

Jest ona o tyle ciekawa i ludzka, że dotyczy ona nie tego co jest, ale tego co naprawdę wiemy. Pod tym względem należy oddać zasługę nowoczesnym fizykom, że nie upierają się przy modelach a mówią prawdę o znanych im faktach. Ostatecznie model jest tylko modelem. Jeśli przewidujemy w modelu istnienie elektronu, to wolno nam zapytać się o jego położenie i jego pęd A jak wyznaczyć położenie elektronu? Przede wszystkim trzeba go dostrzec. Przy jego nikłych wymiarach tylko wzrok mógłby nam służyć pomocą. Zastosowalibyśmy więc szczególny nadmikroskop, który nazwać by można „mikroskopem Heisenberg'a". On to bowiem pierwszy wysunął wątpliwości, o których właśnie mowa. Trzeba więc elektron oświetlić i obserwować go. Według teorii mikroskopu zobaczymy nie sam oświetlony punkt (elektron). a plamkę świetlną utworzoną przez światło przezeń rozproszone, o rozmiarach równych w przybliżeniu długości fali światła. W którymś miejscu plamki znajduje się elektron. Istnieje zatem „niepewność położenia" elektronu i będzie ona tym większa, im zastosuje się światło o dłuższej fali; na odwrót tym dokładniej wyznaczylibyśmy położenie jego im krótszą falę miałoby użyte do eksperymentu światło. Np. promienie Roentgena mają bardzo krótką falę, oczywiście, że przy ich zastosowaniu użylibyśmy płyty fotograficznej zamiast oka.

Tylko że sprawa nie jest wcale taka prosta — twierdzi słusznie Heisenberg. Światło ma wprawdzie charakter falowy, ale ponad wszelką wątpliwość jest światło także ruchem subtelnych ziarenek-pocisków, atomów energii, które Planck nazwał kwantami (lub fotonami). Kwanty są ziarnkami, mają masę. Masa tych małych porcyjek energii jest rozmaita — tym większa im fala światła jest krótsza i na odwrót. Światło widzialne ma długą falę (aż ...0,0005 mm), stąd kwanty jego są nikłe. Za to promienie Roentgena mają falę bardzo krótką (tysiące i dziesiątki tysięcy razy krótszą), toteż ich kwanty są potężne.

Jeśli więc na elektron skierujemy pocisk fotonowy, aby ten rozproszywszy się od niego (odbiwszy się) wpadł poprzez mikroskop do oka obserwatora (lub na płytę fotograficzną), wtedy zastosujemy światło o możliwie krótkiej fali, aby plamka świetlna, czyli „niepewność położenia" była mniejsza. Z drugiej jednak strony krótkiej fali odpowiada wielki kwant, wielki kwant-pocisk uderzy silnie w elektron, spowoduje jego odskok, zmieni więc jego pęd. Wyniknie z tego przy mniejszej „niepewności położenia" elektronu większa jego „niepewność pędu". Lub na odwrót, gdy zastosujemy światło o dłuższej fali a mniejszym kwancie. Jest to dobrze w fizyce znana „relacja niepewności", inaczej „zasada nieoznaczoności". Uczy ona, że nie można równocześnie oznaczyć położenia i pędu elektronu.

Bo też i nowocześni fizycy zrezygnowali dość dawno z elektronu, który wyobrażamy sobie jako kulkę o określonym promieniu, szybkości i miejscu w przestrzeni. Jest on (elektron) pewnym obszarem przestrzeni, mniejszej lub większej, to już zależy od metody obserwacji. W ramach tej przestrzeni istnieje prawdopodobieństwo istnienia elektronu, Fizyka klasyczna stworzyła modele, którymi usiłowała wytłumaczyć takiego rodzaju prawdopodobieństwa. Wynikły z tego poważne kłopoty. Nowoczesna fizyka uczy natomiast, że prawdopodobieństwa te zachowują się jak fale (są dowody na to!) — nazwano je „falami prawdopodobieństwa". Fale te rozchodząc się w przestrzeni i nakładając się na siebie znoszą się lub wzmacniają. Tam, gdzie się wzmacniają, obszar wypełniony jest falami, tam znajduje się „pakiet fal" — to jest właśnie elektron. Fale te nazywa się także falami materii. Koncepcję ich podał Ludwik de Broglie, a matematycznie opracował Erwin Schrödinger.

A więc jaki jest prawdziwy model atomu? Nie ma prawdziwego modelu bo nie ma elektronów o określonym położeniu i pędzie. Można tylko opisać atom, najłatwiej oczywiście atom wodoru. Jądro otacza przestrzeń kulistą, wewnątrz której biegną fale. Pewna wewnętrzna warstwa kuli drga i wystarczy przyjąć, że to co drga jest miarą prawdopodobieństwa, iż w danym obszarze znajduje się elektron. Gdyby atom pobudzić ,wtedy drganie w warstwie wewnętrznej słabnie, a zjawia się

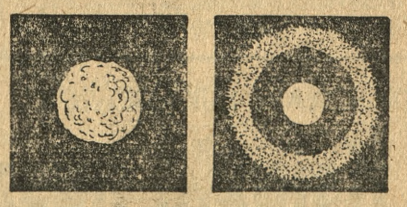

drganie w warstwie bardziej zewnętrznej, przy dalszym pobudzeniu jeszcze dalej itd. Tak pojęty atom to nie układ planetarny a dzwon. Nie sam dzwon a jego dźwięk. Porównanie to, jak zresztą słusznie zaznacza jeden z autorów, jest naciągane. Nadaje się tylko dla atomu wodoru, w którym znajduje się jeden elektron a staje się niezastosowalne dla innych atomów.

A co z tym wszystkim ma zrobić zwykły Czytelnik felietonu naukowego? Niech to przyjmie jak przyjmuje dźwięk dzwonu wieczornego, który jest nicią wiążącą nas z Mądrością i sygnałem Prawdy.

Może ktoś zarzucić, że jest w tym więcej metafizyki aniżeli fizyki? A cóż w tym złego?

Tym bardziej, że bomba atomowa wcale nie jest czymś nierealnym.

Zainteresowanych Czytelników pozwalamy sobie odesłać do interesującego artykułu A. Piekary: „Filozoficzne konsekwencje zasady nieoznaczoności" — Problemy — nr 6 (1946) str. 33).

STANISŁAW TEISSEYRE

Fakty i nieporozumienia

Wokół żadnej ze sztuk nie narosło w ostatnich latach kilkudziesięciu tyle nieporozumień, ile nagromadziło się wokół malarstwa. Począwszy od lat siedemdziesiątych zeszłego stulecia każde pokolenie jest zaskakiwane nowymi formami w malarstwie, nowym „widzeniem", a co zatem idzie, nowym określaniem formalnym tego „widzenia" przez malarzy na płótnie.

Stan ten spowodował zjawisko, w którym każde pokolenie potrafiło wprawdzie dojść do zrozumienia malarzy sprzed lat dwudziestu czy też trzydziestu, ale nie było w stanie jeszcze odczuwać swoich współczesnych.

Wystarczy choćby tylko dla przykładu przypomnieć namiętne walki to-

Claude Monet — Widok rzeki

czone ongiś wokół pierwszych wystaw impresjonistów. (Malarz impresjonista nie tyle odtwarza rzeczywistość, ile daje w obrazie, własny nastrój, własne widzenie świata. Przyp. red.). (Maneta, Moneta, Lisleya, Pissara i innych, nie mówiąc już o Cezannie), gdzie drobna garstka entuzjastów z Emilem Zolą na czele stanęła w obronie tej grupy artystów, przeciwko zwartej i jednolitej reakcji publiczności, wyśmiewającej i wykpiwającej „niezrozumiałe i nieudolne bohomazy", jak podówczas ogólnie określano obrazy impresjonistów. Ale jednocześnie z wygaśnięciem generacji, która „w obronie sztuki", zagrożonej przez impresjonistów łamała parasolki na ich płótnach, zniknęło również i niezrozumienie impresjonistów.

Dziś nie tylko, że obrazy ich znalazły się we wszystkich galeriach i muzeach całego świata na poczesnych a nierzadko honorowych miejscach, — ale jednocześnie i sama postawa społeczeństwa wobec tych płócien uległa zasadniczej przemianie. Dziś dla każdego przeciętnego widza, obraz Maneta, Van Gogha czy nawet Cezanne'a jest najzupełniej „zrozumiały" i nie zaskakuje go obcością czy też dziwacznością, pozwalając mu swobodnie bez żadnych oporów wewnętrznych chłonąć cały swój urok. Niestety ten sam widz pozostaje na ogół niedostępny i oporny wobec Picassa, Brague'a a nawet Bonnarsa czy też Matisse'a, nie mówiąc już o młodszej generacji malarzy wywodzących swój rodowód artystyczny z następstw wynikających ze sztuki tych wielkich swoich poprzedników. To zjawisko zaskakiwania każdej generacji na przestrzeni ostatnich lat, starzenie się zupełnie jasne, jeżeli uświadomimy sobie, że w malarstwie od lat kilkudziesięciu dokonuje się rewolucja zapoczątkowana przez impresjonistów, rozwinięta i poszerzona przez następne kierunki, z tym że wszystko wskazuje na to, że rewolucja ta przeszła przez swoją fazę bohaterską i że zaczyna się od lat kilkunastu stabilizować i utrwalać.

Takie rewolucje w sztuce, które są następstwem ogólnych przemian, zachodzących w społeczeństwie nie są jakimś zjawiskiem nowym i wyjątkowym, i mają swoje liczne przykłady, dobrze znane w historii sztuki. Wystarczy choćby tylko przypomnieć, jaki przewrót w stosunku do całego malarstwa średniowiecznego został zapoczątkowany u jego schyłku twórczością Giotta, będącą wstępem do twórczości renesansu (odrodzenie w sztuce motywów starożytnych, klasycznych), która narasta konsekwentnie przez blisko trzy wieki od fresków Giotta w Padwie czy Assyżu, do płócien wielkich symfonistów kolorystycznych weneckich Tycjana, Giorgiona czy Veronesa.

Ale żeby zdać sobie sprawę z mechaniki tych przemian i z tego, że nie są one powodowane jakimś kaprysem czy też „widzimisię" artysty, — musimy je mierzyć nie tylko miarą wartości formalnych, ale również i socjologicznych, i wówczas dopiero zarysują się one nam jasno i wyraziście jako jeden z objawów procesu historycznego, zachodzącego w łonie społeczeństwa, z którego artysta wyrasta i z którym jest nierozerwalnie związany.

Rzecz jasna, że malarz jako twórca sztuki wzrokowej, swój stosunek do rzeczywistości ustala na drodze wizualnej (wzrokowej), stwarzając formę malarską zgodną ze swoim światopoglądem i zgodną z charakterem i rodzajem widzenia świata. I dlatego w pierwszym rzędzie w myśl tego „jak" malarz widzi świat, tak stara się kształtować swój sposób wypowiedzenia, a więc cały formalny zespół malarski.

Toteż kiedy Giotto wyprowadził człowieka z abstrakcyjnego złotego tła bizantyńskiego na ziemię, pod pogodne niebo Italii, na otwartą daleko przestrzeń pól, na kamieniste zbocza Apeninów, rzadko porosłe drzewami, i w ciasne uliczki Assyżu, Rzymu czy Flo-

Titiano Vecelli — Tualeta Wenus

rencji i kiedy człowiek Giotta zrzucił z siebie wspaniałą szatę, której kunsztowne fałdy mógł zachować jedynie w swej dostojnej hieratyczności i sztywnej nieruchomości, i zaczął żyć, cierpieć i cieszyć się jak każdy mieszkaniec Umbrii czy Toskanii, — to było to wyrazem całokształtu zarysowujących się zmian w społeczeństwie włoskim.

Zmian, które w konsekwencji musiały doprowadzić do zastąpienia feudalizmu — republikami miejskimi, scholastycznego mistycyzmu — filozofią, celi alchemika — laboratorium naukowym.

Ale jednocześnie Giotto dla tego nowego rodzącego się widzenia świata, musiał znaleźć nową formę malarską i na podstawie niej właśnie możemy ocenić doniosłość i głębokość dokonywujących się przemian.

Jeżeli teraz po tych uwagach, spróbujemy zanalizować przemiany jakie dokonały się w malarstwie począwszy od wystąpienia impresjonistów, to charakter tych przemian stanie się dla nas zrozumiały i konsekwentny i będzie równoległy do narastania całokształtu procesów zachodzących w społeczeństwie.

Olbrzymi rozkwit nauk przyrodniczo-matematycznych w ciągu XIX i XX wieku warunkujący niespotykane na przestrzeni dziejów nasilenie wynalazczości technicznej oraz powstanie industrializmu i maszynizmu, — rodzące się i krzepnące nowe masowe ruchy socjalne i tworzenie się nowego świa-

Giotto — Opłakiwanie Chrystusa

topoglądu, przekształcają zasadniczo nie tylko życie społeczeństw, ale i jednostek. Głębokość i zasadniczość tych zmian w nie ma przykładu w historii.

Dlatego podobnie w dziedzinie sztuki zmiany, które nastąpiły, były równie głębokie i zasadnicze, stwarzając odrębność nowoczesnego malarstwa w stosunku do całego malarstwa epok minionych. Fakt ten jest zupełnie zrozumiały i zgodny z logiką narastania nowego światopoglądu i dokonywujących się na wszystkich odcinkach przemian.

Różnica w źródłach uzyskiwania energii od maszyny parowej do rozbicia atomu i wyzwolenia jego potencjału, dostatecznie charakteryzuje gwałtowność przemian tego okresu. I tą miarą należy mierzyc zmiany jakie dokonały się na odcinku malarstwa?

To nie artyści medytowali nad tym czymby „epatować" (wzruszać) i zaskakiwać widza, to cała epoka „epatowała" i zaskakiwała ludzkość.

Uwaga: Omówienie szczegółowe mal. współczesnego w dalszym artykule.

Prof. Dr Zygmunt Szweykowski

Bolesław Prus

Kronika tygodniowa nie jest pomysłem Prusa, nie jest też pomysłem polskim. Pojawia się ona w połowie XIX wieku we Francji jako wyraz poszukiwań przez rozrastającą się ustawicznie prasę coraz nowych magnesów przyciągania czytelników i prenumeratorów. Kronika tygodniowa stanowi głównie jeden z etapów ewolucji tak zwanego felietonu, odcinka gazetowego. Przez felieton rozumiemy utwór literacki wszelkiego typu, umieszczony na dolnym miejscu kolumny dziennika, miejscu oddzielonym od reszty stronicy wyraźnie zakreśloną linią. Ta linia rozgraniczała dwa działy treściowe dziennika. Strona górna poświęcona była (i jest najczęściej do dziś dnia) omówieniu praktycznych kwestyj życiowych, a więc polityce, telegramom zagranicznym przeobrażeniom socjalnym, sprawom ekonomicznym, żywnościowym, pieniężnym (giełda), procesom sądowym, wreszcie notatkom policyjnym o kradzieżach, nieszczęśliwych wypadkach itp. Odcinek stanowić miał część rozrywkową, emocjonalną, miał wzruszać, bawić, zaciekawiać, pobudzać fantazję.

Felietony, które jako postulat miały zawsze nienaganne opracowanie literackie, tematycznie były to albo rozprawy z zakresu krytyki, albo studia czy szkice historyczne (wszelkich działów historii), albo impresje nie pozbawione często ironii czy satyry, albo wprost utwory artystyczne: opowiadania, powieści a nawet dramaty. Te wszystkie jednak podziały felietonu już w połowie wieku ubiegłego przestały Francji wystarczać: jako nowość wprowadzono periodyczne odcinki informujące nie tylko i nie tyle o ważnych zjawiskach kulturalnych, lecz raczej o ciągłości ich przejawów, o nurcie przemian, o kolei ich życia. Felieton tego typu nazwano pogawędką z czytelnikiem (causerie) albo kroniką (chronique). Kroniki z życia artystycznego informowały o zamierzeniach i planach pracy różnych dziedzin sztuki, nie wyłączając spraw zakulisowych, ciekawostek sensacyjnych, plotek. Te elementy kulis życiowych szczególnie silnie wybijały się w kronikach typu obyczajowego, nazywanych kronikami paryskimi albo kronikami tygodniowymi. Tu główną atrakcją stały się raczej skandaliczne zjawiska życia Paryża, awantury erotyczne, garderoby teatralne, środowiska podejrzane — wszystko ujęte stylem lekkim, skrzącym się od wesołości, dowcipu i dosadnych powiedzonek. Dowcip, subtelna ironia łączące się z pianą sensacyjnych szczegółów paryskich — oto co stało się podstawą charakteryzującą francuską kronikę tygodniową. Pewnie, istniały wyjątki; poruszano w kronikach i sprawy poważniejsze, ale wskazana tematyka była ich cechą najznamienniejszą. Kroniki paryskie — to właściwie wyraz wynaturzeń życia bogatego mieszczaństwa francuskiego za czasów (mało chlubnych!) drugiego cesarstwa.

Prasa polska pilnie śledząca rozwój czasopiśmiennictwa paryskiego i naśladująca je, bardzo szybko, bo już w szóstym dziesiątku ubiegłego stulecia wprowadza kronikę tygodniową. W roku 1859 pisał Wacław Szymanowski w Nr 2 „Tygodnika Ilustrowanego": „Kroniki tygod. są towarem z Paryża przywiezionym, jak wszelkie modne towary; niejeden starał się go przerobić na warszawskie kopyto, choć zawsze na nim czuć stempel paryskich fabryk". To przerobienie na warszawskie, czy w ogóle polskie „kopyto" polegało przede wszystkim na zmianie tematyki kronikarskiej. O tym, by kronika tygodniowa naówczas w Polsce karmiła społeczeństwo głównie życiem kulis, aferami skandalicznymi, czy śliskim erotyzmem, nie mogło być mowy. Odpowiadał sam gatunek literacki i to odpowiadał (poza bodźcem mody, która miała także niewątpliwie swe znaczenie) z dwóch względów: 1) o nasze ówczesne życie miasta, krępowane przez zaborców nie miało jakichś rozleglejszych perspektyw w swych przejawach (nurty ideowe były głęboko ukryte) i uzewnętrzniało się przeważnie w stosunkowo drobnych sprawach, które nie wymagały obszerniejszych omówień, natomiast nadawały się do nanizywania ich na kronikarskie nici; 2) o zaś panujące wtedy u nas w literaturze zamiłowanie do gawędy, pod wieloma względami godziło się z typem familiarnych „pogawędek" z czytelnikiem, które były charakterystyczną cechą kronik.

Kronikę tygodniową z tych przyczyn wprowadzono do naszego czasopiśmiennictwa, ale bardzo szybko zwekslowała ona na tory rozleglejszej obserwacji życia społecznego, obyczajowego i artystycznego, a następnie — jak cała prawie zresztą ówczesna literatura w kraju — stała się utworem dydaktyczno-moralizującym. Frywolność, która pojawiała się nieraz w naszych pierwszych kronikach („stempel paryskich fabryk") opinia publiczna przeważnie karciła, co zresztą widzieliśmy w odezwaniu się Szymanowskiego. On to właśnie w kierunku umoralnienia kroniki tygodniowej i związania jej z całokształtem bieżących spraw społecznych i kulturalnych dużo zrobił, reprezentując ten dział w „Tygodniku Ilustrowanym", piśmie, które zaczęło wychodzić od października 1859 roku.

Jeśli swawolność kronik paryskich powszechnie atakowano, to inaczej zu-

Kronika

Dziwy nam opowiadają o pewnej kategorii kupców. Panowie ci, swojego czasu, dla gubienia nowych współzawodników, sprzedawali towary taniej, niż je nabywali sami. Operacje podobne pomyślnie ciągnęły się dotychczas, dzięki kredytowi, jaki zagraniczne firmy udzielały kupcom zawistnym. Dziś jednak kredyt licho wzięło, a zawistni

Baran i wilki

Kupcze! siądź i zapal fajkę,
Powiem ci bajkę.
Chodził baran po łące, —
Aż dwa wilki ze świecące —
mi oczyma, bez hałasu,
Wyłażą z poza krzaka,
Skaczą do nieboraka...
Łap!
Cap!
I na poły martwego
Barana otyłego
ciągną do lasu...
Chcąc w głodowej potrzebie,
Podzielić między siebie
Zgodnie owczego syna ciało,
Jak na wspólników przystało.
Nie widząc do ucieczki żadnego sposobu:
— Oj! jęknął biedny pacjent, — dadząż mi [tu bobu!...
Potem w przedśmiertnej skrusze,
Polecił niebu duszę,
A odłożywszy na bok płacz i narzekanie.
Prosił tylko by mu lekkie zrobili skonanie.
Wilcy precz ciągną, aż pot z czoła kapie,
I, choć jeden z sił opadł, drugi miał kurcz [w łapie,
Żaden nie puszcza barana,
Bojąc się zdrady kompana.
Wtem młodszemu z nich, który
Delikatnej był natury,
Na ogonie pchła usiadła.
I jak weźmie tańcować,
Jak nie zacznie świdrować...
Także mu tym dojadła srodze
Że aż wilk ukląkł na drodze
I rzecze do kamrata:
— Uczyń grzeczność dla brata!

STANISŁAW ŁUKASIEWICZ

Książki naszej młodości

Gdy kiedykolwiek obchodzimy święto książki — staje się ona naraz głównym przedmiotem naszych rozmów, jest ośrodkiem zainteresowania — powodem troskliwych zabiegów i wielkiej, ogólnej uroczystości. Na uroczystość tę idziemy z cichym uśmiechem radości, tacy pogodni i przyjemnie wzruszeni, jakbyśmy wybrali się złożyć życzenia niezwykle sympatycznemu przyjacielowi. I cieszymy się, że mamy okazję powiedzieć mu kilka miłych słówek.

I oto wynikło zestawienie: przyjaciel i książka.

Prawie każdy ma, a przynajmniej chce mieć, przyjaciela. Kogoś, z kim by razem mógł doznawać przygód, tak jak wy młodzi i kiedyś latem wspólnie przez pachnącą trawę i rozgorączkowaną młodość przekradać się do nieprzyjacielskich wigwamów Apaczów — czy innych psów Komanczów. Lub też w pogodny dzień kajakiem wybierać się na zaczarowaną wyspę, w pobliżu której kryje się w łodzi podwodnej kapitan Nemo. Do tych czynności i wypraw, najmłodsi Czytelnicy, przyjaciel nie tylko przyda się, ale jak wiadomo, jest wprost nieodzowny. A gdy się jest już w klasie siódmej czy ósmej, osoba jego staje się czymś niezastąpionym. Gdy w szlachetnej, młodzieńczej dyspucie porusza się niebo

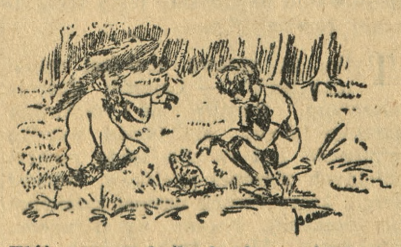

Któż z nas w bajkach nie przeżywał tajemniczych kruszachtów z krasnoludkami...

i ziemię, gdy się toczy zaciekły bój filozoficzny, do utraty głosu w krtani broni własnej idei świata, nowej a wspaniałej, zakwitłej w młodej gorącej głowie — albo też gdy Ona nie odpowiada na uśmiechy, a dusza nasza znosi katusze, istne „Cierpienia Młodego Wertera" i przejmujący ból Gustawa, a naprawdę tragiczne spojrzenie szuka staroświeckiego pistoletu, wtedy życzliwa rada przyjaciela: — „nie bądź mazgajem, idioto" — jakżesz bardzo okazuje się na miejscu i nieoceniona.

Otóż pomyślmy razem o książkach, które najczęściej są książkami naszej młodości, a z których wielu nas teraz tylko przyjacielski uśmiech pożegnania pamięta.

I któż z nas w bajkach nie ratował zaklętej królewny w srogim zamku, strzeżonym przez smoka. Nie wspinał się na szklaną górę, nie wydzierał sępowi złotych jabłek lub nie miał tajemniczych konszachtów z krasnoludkami. Kto z Cooperem nie polował w preriach amerykańskich na bawoły, nie bronił własnych farm od napadów Indian, nie skradał się wieczorem cichaczem do nieprzyjacielskich obozów lub w mokasynach siedząc na oklep na dzikim mustangu nie był goniony przez Komanczów?

Ileż razy w szkole na pauzie, gdzieś na krańcach korytarzy, jak najdalej od oczu panów profesorów, we dwóch czy we trzech, Old Shatterhand i Old Surehand — broniliśmy Winnetou od biorących go już w niewolę nieprzyjaciół — lub ileż razy stłoczeni w jakimś przejściu utrudnialiśmy wstęp wrogowi do złotodajnego wąwozu?

Przedzieramy się przez dżungle Afryki napadani przez dzikie zwierzęta...

Wszyscy odbyliśmy w geograficznych książkach Verne'a podróż bez pieniędzy naokoło świata. Strzelaliśmy do walczących zatrutymi dzidami Murzynów w Australii, wyprawa nasza docierała do tajemniczych, przepastnych grot, nieznanych dolin z dziwaczną roślinnością i niespotykanymi zwierzętami. Przedzieraliśmy się z transportem kości słoniowej przez dżungle Afryki toporami wyrąbując drogę, napadani przez dzikie zwierzęta i gady, z gęstych krzaków nieraz świsnęła strzała Buszmena.

Wiemy, co to jest powódź Amazonki — przygoda przy wodospadzie Niagary. To znów razem z sympatycznym dziwakiem, asystentem Verne'a dr. Stromem lecimy w pocisku międzyplanetarnym na księżyc czy na Marsa. Przez okna kabiny widzimy ginącą w tyle ziemię i puszczamy się na niepewne losy w gwiezdną otchłań poszukując z niezaspokojoną ciekawością tajemnicy kosmosu. Zmagamy się z zagadką wszechżycia.

Oto już przejechaliśmy konno Azję. Z włóczęgą, trampem Londona, towarowym pociągiem przemykamy wśród krwawych przygód wzdłuż i wszerz Stany Zjednoczone Ameryki i wpadamy znienacka razem z Kiplingiem w groźne dżungle Indyj. To znowu interesują nas już tylko same miasta: Bombaj, Kalkuta, Singapur — Sydney, Zanzibar i San Francisco. Wybieramy się razem z ludźmi Londona starym szlakiem koło Hudsonu kopać złoto w Klondike.

Okręt nasz porwany został znienacka oceanicznym tajfunem, z którego ratujemy się dzięki pomysłowości Conrada. Gdy już podróży mamy dosyć, znudziliśmy się południowym słońcem, bezkresem oceanu i nieustannymi przygodami wśród rozbestwionych marynarzy, książka niesie nas do Polski. Każe żyć wśród naszych ludzi, wśród skromnych, lecz upojnych pól i lasów lub zmagać się o życie w naszych, nie tak wielkich miastach. Nowi ludzie teraz z nami gwarzą, słuchamy ich mądrych i wzruszających opowiadań. Dygasiński mówi nam, co wie o zwierzętach, prowadzi nas na ich gody życia. Zaprzyjaźniliśmy się na dobre

jako felietonista

pełnie rzecz się miała ze sprawą wesołości i dowcipu. Ten postulat przez naszych kronikarzy uznany był za zupełnie właściwy i stale czynili oni wysiłki, by swoje pogawędki z czytelnikami uczynić dowcipnymi. Lecz z tym właśnie szło najtrudniej: błyskotliwością piór, bystrością śmiałych obserwacyj, nieoczekiwanych zestawień, paradoksalnością sformułowań nie odznaczali się zbytnio i nasi pierwsi kronikarze.

Rzecz uległa dopiero wyraźnym zmianom w kronikach znanego powieściopisarza i satyryka lwowskiego, Jana Lama, pierwszego w Polsce wybitnego publicysty w tej dziedzinie. Lam, człowiek o dużych zainteresowaniach politycznych, społecznych, obyczajowych i artystycznych, wprowadzał umiejętnie wszystkie kwestie tego typu do swych „kronik lwowskich", które też dlatego mają rozległy wachlarz poruszanych zagadnień. Pisał o wszystkim z pasją — był urodzonym polemistą — szydząc z poglądów swych przeciwników, chłoszcząc i obnażając ich obłudę; pisał, jak sam twierdził „pieprzno i ostro". Jego kroniki — i w tym tkwiła nowość — były rodzajem walki prowadzonej o zasady, kierownicze dla całokształtu życia ówczesnej Galicji. Obracając się w sferze tak ważnych zagadnień, Lam nie gardził jednak również tematami, które widzieliśmy w kronikach francuskich. „Kronika — pisał — powinna dawać obraz życia miejscowego, lwowskiego", ale dodawał, że nie powinna ona gardzić „ciekawymi wiadomościami z bruku".

Lam uważał bowiem, że tego rodzaju notatki, scenki, wiadomostki, stanowią siłę przyciągającą czytelnika, który powinien wiedzieć, że kronika go zabawi. A zabawić mogła, tym bardziej, że Lam jest pisarzem bardzo dowcipnym, jest wytrawnym ironistą i ciętym satyrykiem karykaturzystą. Sukcesy kronikarskie Lam niewątpliwie zawdzięcza swemu talentowi, talentowi specjalnego typu.

To samo — jeszcze w wyższym stopniu — można powiedzieć o Prusie. Talent humorysty, wyjątkowa pomysłowość dowcipu, zaraźliwa wesołość, umiejętne operowanie stylem karykatury, parodii i groteski, wrażliwość na śmieszności ludzkie, zdolność zabawnego oświetlania perypetyj miłosnych (którymi jak Lam Prus nie będzie gardził, wywołując nieraz protesty „dozorców i dozorczyń" obyczajowych) — oto zespół cech, które utorowały pisarzowi zarówno możność podjęcia tego działu twórczości dziennikarskiej jak i rozgłos kronikarza. Nie zapominajmy bowiem, że Prus pierwsze swe sukcesy literackie osiągnął jako pisarz-wesołek, który w r. 1873 i 74 był stałym dostawcą rozrywkowej twórczości w tak zwanych pismach humorystycznych: „Musze" i „Kolcach". Stamtąd też na kronikarza ściągnął go do „Kuriera Warszawskiego" wspomniany już dwukrotnie Szymanowski, który naówczas był redaktorem tego dziennika. Choć sam on w swych kronikach był nietęgim „dowcipnisiem", rozumiał jednak, jaka to jest atrakcja dla publiczności. Prus jak nikt w tej epoce umiał pobudzać do śmiechu, umiał na wędkę wesołości chwytać czytelników i... prenumeratorów. Jego dowcip przerastał bezkonkurencyjnie dowcip Augusta Wilkońskiego, zmarłego już wówczas ale ciągle poczytnego autora „Ramot i ramotek", czy dowcip Klemensa Junoszy (Szaniawskiego), jednego z najlepszych dostawców literatury wesołej (głównie modnych monologów), a później znanego powieściopisarza, czy nawet dowcip znanego nam już Lama.

Prus jednak do roli frywolnego wesołka nie chciał się i nie mógł ograniczyć. Był człowiekiem nieprzeciętnych ambicyj i nieprzeciętnych zamiarów. O tym, że został dostawcą literatury rozrywkowej, zadecydował poniekąd przypadek: uczynił to dlatego, że inaczej nie mógł zarobkować na życie, wstąpił do redakcji „Muchy", by nie zginąć z głodu. 1) Główne ambicje jego tkwiły w badawczej pracy naukowej, a co najdalej mogły się obniżyć do roli pisarza, który byłby rzetelnym pracownikiem społecznym, obejmującym całość zagadnień związanych z życiem narodu. Ponieważ innej drogi nie było, tylko do literatury mógł się dostać przez drzwi kronikarskie, więc postanowił (jak i jego poprzednicy polscy) uczynić z kroniki jakby obserwatorium życia zbiorowego, ujawniającego się w toku codziennych spraw, obserwatorium, które pozwoliłoby mu na stawianie diagnozy społecznej i wskazywanie dróg rozwojowych narodu.

Do pracy kronikarskiej przygotowywał się Prus bardzo starannie; już w pamiętniku swym notuje pod datą 27 kwietnia 1874 roku „Uwagi nad pisaniem felietonów". Z uwag tych wynika, że chciał, by kroniki były rezultatem gruntownej pracy obserwacyjnej nad naturą i życiem ludzkim, rezultatem śledzenia „za najwybitniejszymi zadaniami społecznymi" i przedstawiania rzeczy genetycznie, uwzględniając ich historyczny rozwój. Prus też będzie istotnie kształcił się przez całe życie, okazując wyjątkowy zasięg zainteresowań i rozległość przeprowadzanych nad nimi studiów.

tygodniowa

kupcy, zgubiwszy swoich kolegów, sami chyba zginą, nie będą bowiem mogli objąć nawet posad chłopaków sklepowych.

Smętny ten wypadek zachęcił mnie do spróbowania sił na polu bajkopisarskim. Osoby handlujące! raczcie być pobłażliwymi dla tych pierwocin.

Wypędź mi pchłę! bo zbytkuje
Tak, że ledwie nie zwariuję!...
— Sam wypędź! odparł drugi, albożem twa [matka,
Albo też twoja żona
Bym, dla uciechy gagatka
Pchłę miał wypędzać z ogona?
— Zrobiłbym to, — rzekł pierwszy, lecz [mocno się boję,
Byś (zapomniawszy co moje i twoje),
Z baranem sam nie czmychnął,
Mnie na dudka wystrychnął.
Widząc, że mu plan odkryto:
— Milcz!..... ty ośle kopyto....
Wrzasnął drugi, — a pierwszy tymczasem,
Puszcza z zębów barana
I na swego kompana,
Ze strasznym wpada hałasem...
Zrobił się gwałt, kąsanie,
Okrutne szamotanie,
Coś się zakotłowało...
Aż z dwu wilków nareszcie
(Wierzcie albo nie wierzcie)
Trochę pierza ledwie pozostało!
Baran otworzył przewrócone oko,
A widząc ziemię zbroczoną posoką,
Jowiszu! rzekł wzruszony. Dziękuję ci [panie!..
Nie będzie świat żałoby nosił po baranie!
O wspólnicy w oszustwach! zapiszcie to [zdanie:
Wilki same się zjedzą, baran zdrów zostanie
Lekarstwo na karaluchy.
Wybierz osobniki płci męskiej, tudzież płci [żeńskiej i zamknij
każde oddzielnie. Wówczas mężczyźni [poschną z miłości, damy ze
złości, a małoletnich nie będzie.

Bolesław Prus

z małą ptaszyną — mysikrólikiem i znamy na wskroś jego obyczaje. Podglądamy tajemne nocne praktyki sowy, śledzimy samotne dumania jastrzębia na wysokiej sośnie — to z nietoperzem lecimy na wprost czerwonej tarczy wschodzącego księżyca. I znów Dygasiński z uśmiechem pobłażliwości opowiada o cichym dworku wiejskim, przyległych polach gajach leszczynowych i brzozowych i mówi, co robią tam wilk, psy i ludzie.

Z nagła słychać głośny łoskot bębna żołnierzy Przyborowskiego, słowa tak

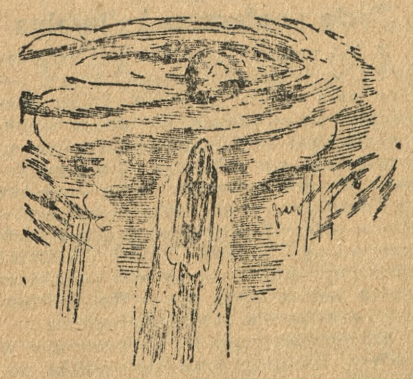

W pocisku międzyplanetarnym lecimy na Marsa...

wzruszającej młodych czytelników komendy: nabij, cel, pal. Oto maszerują gwardia Gąsiorowskiego i wznosi gromki okrzyk: „Vive l'Empereur" — we wrzawę bitwy wśród huków armatnich i krzyków piechoty idącej do ataku wplata się teraz z całej zrozpaczonej duszy zawodzona pieśń dziewczyny — warszawianki Wyspiańskiego: „Oto dziś dzień krwi i chwały"...

Gdy tak idziemy pamięcią w głąb naszej literatury polskiej, spiętrzają się w wielki stos książki Sienkiewicza, Prusa, Reymonta, Przybyszewskiego, Żeromskiego, Sieroszewskiego. Tylu ludzi naraz do nas przemawia.. Spostrzegamy się, że nie tylko to jedno życie obecne jest naszą własnością — ale przeżyliśmy już tyle, zwiedziliśmy wiele światów — które tak rozszerzyły naszą świadomość, tak ją wzbogaciły i uzupełniły, że bez niej bylibyśmy samotni, biedni jak drzewko na polu, w które biją zewsząd groźne wichry życia.

A gdy jesteśmy ufni odrywa nas od ziemi wiara w coś lepszego, w jakąś boskość — myśl naszą i uczucia kieruje coś w przestrzenie międzygwiezdne — zawdzięczamy to książce, co wyłania się oto teraz jak łódź z morza, z tylu tych przypomnianych wzruszeń i leży przed nami na stole teraz już oceniona, na nowo przygarnięta, jest przedmiotem naszego uwielbienia i głównym powodem uroczystości. I w chwili tej decydujemy się już na zawsze — z książką nie zrywać, obcować z nią stale i obchodzić się jak z najlepszym przyjacielem.

DR JERZY MŁODZIEJOWSKI

Polacy na szlakach świata

POLAK ZDOBYŁ KILIMANDŻARO

Daleko stąd, o tysiące od Poznania kilometrów, z płaskiej równiny afrykańskiego stepu bije w szaro-perłowe niebo nad tajemniczym „czarnym lądem" śnieżna kopuła Kilimandżaro z najwyższego wzniesienia Afryki. Wygasły wulkan — śniegiem i lodami pokryty! Niemal tuż pod równikiem! Kiedyś, gdy jeszcze nikt z Europejczyków o tym wyniosłym olbrzymie z białą czapą na łbie nie wiedział — pewien misjonarz idąc w te przeklęte i zapuszczone kąty na zbożny połów czarnych dusz ujrzał ten czarowny widok. I podobnie jak ów ksiądz na szczycie Gerlachu „Te Deum" intonujący z góralami pospołu — tak i misjonarz klęknął w uniesieniu i ku białej górze wzrok skierował tęskniący... Minęły lata. Szczyt Kilimandżaro świecił o zachodzie słońca różową łuną, gdy w początku marca 1910 roku młody lwowski przyrodnik spoglądał w tym kierunku chciwym okiem. Okiem chciwym przestrzeni i dali niedosiężnej. Być tam, na szczycie lodowej kopuły! Dojrzeć powierzchnię olbrzymiego lądu afrykańskiego! Spojrzeć z 5860 metrów ku szarzejącemu paskowi Oceanu Indyjskiego! Zbadać wnętrze krateru, którego „podłogę" lody moszczą twardym szkliwem! Zbadać świat żywych istot na potężnych skłonach i pobocznicy tego górskiego masywu! Oto myśli doktora Antoniego Jakubskiego, znawcy przyrody, miłośnika Tatr, człowieka, który późniejszymi laty na Poznańskim Uniwersytecie dziesiątki młodych uczonych wychowywał i o „czerwcu polskim" monografię naukową drukował...

Patrzę na trzy duże, zblakłe dziś już fotografie, które mi niegdyś profesor Jakubski podarował. Wytrzymały okupację niemiecką i znowu są dziś w mych rękach. Mówią o trudach podróży poprzez czarny ląd. Oto karawana tragarzy murzyńskich w drodze. Jakubski w hełmie tropikalnym zarośnięty, schorowany malarią leży w pomysłowym „nosidle". Murzyni szczerzą białe zęby, dźwigając pudła i tłumoki z naukowymi zbiorami, które później w ciszy pracowni uniwersyteckiej będzie Jakubski opisywał. A oto skalisty masyw o wyszczerbionej sylwetce, śniegami przyprószony, wznoszący się wprost z płaskowyżu bezroślinnego... to Mawenzi, bliźniaczy brat Kibo

Szczyt „Kibo" w masywie Kilimandżaro. Widok ze samolotu.

Obaj tworzą ów Kilimandżaro. Pierwszy czarny, skalisty — drugi biały, kopułowaty. Na jego też wierzchołek wybiera się Antoni Jakubski lat temu dokładnie 38.

Czy miał należyty ekwipunek, ubiór, czekany lodowe? Nie! Samotny wśród bandy czarnych drapichrustów, w ubraniu tropikalnym, w dobrym „buszu" lub nad brzegami Tangayiki. A przecież doświadczenie, nabyte w turniach tatrzańskich nie zawiodło. Jakubski organizuje wyprawę przy pomocy dwóch przewodników i 10 tragarzy. Kupuje ciepłe koce, 36 funtów ryżu, mnóstwo cukru i herbaty a nawet żywą kozę. W dniu 11 marca 1910 roku ruszają dziewiczym, wilgotnym lasem w górę. Wszędzie ślady stóp słoni, wielkie, jak misy. O godzinie 4 po południu wyszli z pierwoboru na wysokość niemal 3 tysięcy metrów. To wyżej, niżeli szczyt Gerlachu! Rozstawiono dwa namioty, zapalono ogniska i kucharze rozpoczęli pracę. W kotłach ryż i... koza a naokoło siedzą zmarznięci i kocami pootulani Murzyni Dziwią się swemu „panu", że chce iść w jakieś białe, zimne okropności. Gdyby nie obiecana wypłata — dawno by uciekli do swych wiosek. Rankiem szron okrył ziemię a ogień wygasł. Pobudka. Zbędne rzeczy zostawia się pod gołym niebem Afryki. Murzyni zbierają suche wrzosy na opał. Kosówki ani innych drzewek już nie ma na tej wysokości. Wreszcie rusza karawana dalej i wyżej. Murzyni skarżą się na szum w uszach i bóle głowy. Aspiryna co nieco pomaga na te dolegliwości ale dzicy ludzie wciąż mruczą. Pod wieczór stają na obszernej płaszczyźnie, zbudowanej ze skamieniałych popiołów wulkanicznych. Tu i tam porozrzucane większe bloki lawy. U podnóża stożka szczytowego jest miła grota. Tu będzie nocleg na wysokości 4 i pół tysiąca metrów. Mroźna, groźna noc!

Rankiem wszyscy wstają ale Jakubski pozostawia Murzynów w „obozie". Idzie całkiem samotnie. Ma ze sobą aparat fotograficzny i zapał do osiągnięcia szczytu. Już go zresztą dawno widać. Spadzistość stoków coraz stromsza. Ma już chyba ze 40 stopni nachylenia. To mniejwięcej droga na Zawrat, tylko że o wiele bardziej niewygodniejsza. No i o wiele dłuższa, bo około trzech kilometrów licząca. Sypie się drobny żwirek piargowy i utrudnia posuwanie się pod górę. Jakubski (już wtedy „chłop jak tur") ulega działaniom wysokości i co kilkanaście kroków musi wypoczywać. Nadto na plecach i piersiach występuje kropelkami krew — objawy tropikalnej choroby zapalenia gruczołów potowych. Co trzydzieści postawionych kroków Jaskulski pada i przez pięć minut odpoczywa. Ale chłodny wiatr orzeźwia ciało, siły wracają i... zaczyna się wszystko od nowa. Gdyby zadrzeć głowę — ostrożnie, by nie doznać zawrotu — widzi się na tle ciemno-błękitnego nieba gwiazdy, które tuż obok słońca tkwią w kopule nad światem! Na dwieście metrów niżej szczytu Jakubski wchodzi na powierzchnię lodowca, spływającego ze szczytu krawędzi krateru. Po śniegu łatwiej się posuwać i wreszcie około 13 po południu w dniu 13 marca 1910 roku Antoni Jakubski staje na szczycie.

Antoni Jakubski niesiony przez Murzynów w „maczili"

„...groźny ale piękny potwornością obraz roztacza się przede mną. Z dna krateru o średnicy 2 i pół kilometrów sterczą pionowe, idealnie pionowe ściany gór lodowych... zdejmuję naprędce dwa najciekawsze miejsca — ostatni to czas, bo w tej chwili obejmują mnie chmury i świat cudów i marzeń sennych jak tajemnicze widziadło znika z oczu..." — oto słowa Polaka, który lat temu 38 osiągnął wysokość 5860 metrów — Polaka, który zdobył Kilimandżaro, najwyższy szczyt wielkiego lądu Afryki!

Dziś profesora Antoniego Jakubskiego w Poznaniu nie ujrzycie! Jest zdala od Polski. Przeszedł okropności obozu koncentracyjnego, rekonwalescencji... Na jednej z map „Atlasu geograficznego" Romera widnieje mały planik Kilimandżaro z wyrysowaną kropeczkami drogą Jakubskiego na szczyt. A choć już dziś ten „rekord wysokości" pobili inni, młodsi polscy alpiniści — to jednak warto wspomnieć tę chwilę sprzed lat, by wiedzieć że szlakami świata niejeden Polak wędrował i niejedną „białą plamę na mapie" uzupełnił szczegółami. I to jak kula ziemska długa i szeroka!

Szeroka akcja upowszechnienia książki w Polsce

Uchwały Rady Państwa

Na ostatnim posiedzeniu, które odbyło się pod przewodnictwem Prezydenta R. P. Rada Państwa rozpatrywała zagadnienia, związane z upowszechnieniem czytelnictwa. W obradach poza członkami Rady Państwa, brał udział również prezes Rady Ministrów jako przewodniczący Komitetu Ministrów do Spraw Kultury.

Rada Państwa przyjęła następującą uchwałę:

I Rada Państwa stwierdza, że rozpowszechnienie dóbr kulturalnych jak książki, radio, filmy i inne formy twórczości kulturalnej mimo niewątpliwych osiągnięć w ciągu ostatnich trzech lat **nie ogarnęło dotychczas swoim zasięgiem w sposób należyty szerokich mas ludowych w Polsce.** W szczególności w zakresie wydawnictwa książki oraz w dziedzinie czytelnictwa występują następujące niedomagania.

1 brak ogólnego planu wydawniczego i przypadkowość wielu ukazujących się w druku książek,

2 drożyzna książki,

3 mimo znacznego, w porównaniu z poziomem przedwojennym wzrostu nakładów — wciąż jeszcze niskie nakłady tak, że istnieją wielkie rzesze obywateli niekorzystających dotychczas z książki,

4 niedostateczny dopływ książki do szerokich mas (w szczególności na wsi i w małym mieście) również ze względu na nierozwiniętą sieć rozprowadzania książek i poradnictwa.

II Dla naprawienia powyższego stanu rzeczy konieczne jest **podjęcie szerokiej akcji dla upowszechnienia książki i czytelnictwa w Polsce** opartej na następujących wytycznych:

1 opracowanie planu wydawniczego oraz stworzenie warunków dla jego wykonania,

2 zapewnienie masowemu czytelnikowi dostępu do książki zarówno w formie wypożyczenia jak i jej nabycia przez:

a) przełamanie drożyzny książki,

b) zorganizowanie masowej akcji społecznej propagandy książki, tworzenie kół czytelniczych itp.

c) przystąpienie do realizacji wytycznych ustawy bibliotecznej w zakresie stworzenia sieci bibliotecznej,

d) wzmocnienie i rozwijanie sieci rozprowadzającej, która by zapewniła możność nabycia taniej i dobrej książki,

e) zorganizowanie akcji poradnictwa w wyborze książki w celu ułatwienia nieprzygotowanemu czytelnikowi otrzymanie książki wartościowej, książki budzącej zamiłowanie do czytania, a ponadto wychowawczej i kształcącej.

SPOSÓB WYKONANIA

III Mając na uwadze obecny stan rzeczy na odcinku wydawnictwa książki i w dziedzinie czytelnictwa w Polsce oraz nakreślone wyżej wytyczne dla jego naprawienia, Rada Państwa wespół z prezesem Rady Ministrów, jako przewodniczącym Komitetu Ministrów do Spraw Kultury, utworzonego uchwałą Rady Ministrów z dnia 14 lipca 1947 r., uznają za konieczne **powołanie przez Komitet organu złożonego z przedstawicieli Rady Państwa, Rządu i odpowiednich czynników społecznych**, którego zakres działania winien obejmować.

1 rozpatrywanie i akceptowanie planów i wniosków w dziedzinie produkcji i upowszechnienia dóbr kulturalnych ze szczególnym uwzględnieniem planowej akcji wydawniczej i akcji rozprowadzania książki,

2 zmobilizowanie dla akcji rozpowszechniania książki współdziałania Rad Narodowych i masowych organizacji społecznych, partii politycznych, związków zawodowych, spółdzielni i instytucji młodzieżowych, kobiecych, oświatowych i samokształceniowych,

3 opracowanie planów wydawniczych w zakresie akcji upowszechnienia książki, przede wszystkim zaś planu na rok 1948-49.

4 ustalenie form organizacyjnych i skoordynowanie wysiłków dla realizacji planów wydawniczych w zakresie tanich masowych nakładów, oraz rozprowadzania tych wydawnictw, głównie poprzez zorganizowaną sieć odbiorczą,

5 współpracę z Min. Oświaty w akcyjnej pomocy technicznej i organizacyjnej w zakładaniu bibliotek, w zaopatrywaniu bibliotek w najniezbędniejsze urządzenia — książki, katalogi, wydawnictwa bibliograficzne, poradnicze itp.

Rada Państwa delegowała prezesa Henryka Kołodziejskiego jako swego przedstawiciela do omawianej instytucji.

W następnym numerze „Kultury i Sztuki"

artykuł o potrzebach kulturalnych świata pracy.

Walka o wolność nauki

Fizycy mają ostatnio coraz mniej okazji do spotkań w swoim własnym gronie. Międzynarodowe kongresy fizyków odeszły w krainę wspomnień, z dobrych, starych czasów „przedatomowych". W krajach „demokratycznego" Zachodu bowiem nad nauką zawisło zapomniane, zdawało by się już od czasów mrocznego średniowiecza widmo „tajemnicy". Każdy krok fizyków jest śledzony przez tajną policję, a gabinety ministerialne uzurpowały sobie prawo kontrolowania wystąpień i publikacji naukowych. Wiele miał racji George Teissier, dyrektor francuskiego „Centre National de la Recherche Scientiphique", gdy niedawno oświadczył w Paryżu: „Niestety, walka o wolność nauki znów, jak za czasów Kopernika i Hervey'a stała się palącą koniecznością".

Inicjatywę ostatniego zebrania fizyków podjęła światowa Federacja Pracowników Naukowych, której przewodniczącym jest Fryderyk Joliot-Curie.

RÓŻNICE POLITYCZNE A JEDNOŚĆ ZASADNICZYCH POGLĄDÓW

Zgromadzenie fizyków, w którym wzięli udział delegaci 20 państw stało się drugą z kolei manifestacją jedności świata nauki. Poprzednia odbyła się przed paru miesiącami, gdzie uczczono uroczyście pamięć niedawno zmarłego fizyka francuskiego, prof. Langevin.

Paul Langevin był nie tylko jednym z najwybitniejszych fizyków naszych czasów, ale jednocześnie czynnym działaczem społecznym, rzeczywistym członkiem francuskiej partii komunistycznej, podobnie zresztą, jak prof. Fryderyk Joliot. Ci dwaj wielcy uczeni weszli na burzliwe forum polityczne targani niepokojem, w obliczu tragicznego rozdarcia, jakie zarysowuje się w naszych czasach między postępem nauk przyrodniczych i techniki, a zacofaniem w organizacji spraw ludzkich.

„Czas najwyższy, aby nauka i jej metody podały rękę postępowi społecznemu" — oto słowa Langevina, które cytowano w Sorbonie podczas przemówień, wygłaszanych przez czołowych fizyków świata.

Różnice w politycznych zapatrywaniach uczestników i inicjatorów tego zgromadzenia nie ulegają wątpliwości. Profesor Urcy z Chicago — twórca „ciężkiej wody" podobnie, jak i Fryderyk Joliot, nie przyklaskuje polityce Marshalla. Tym większej wagi nabiera zgodność poglądów tych ludzi na sprawy zasadnicze, ich głęboka i wspólna troska z powodu sprzecznego ze zdrowym rozsądkiem użytku, jaki czynią politycy z ich odkryć.

OBAWA PRZED KONSEKWENCJAMI ODKRYĆ

Zjazd paryski poświęcony był głównie konsekwencjom społecznym odkryć nowej fizyki.

Prof. Fr. Joliot przypomniał zebranym, że już w 1916 roku wielki fizyk angielski, twórca alchemii przemian atomowych — lord Rutherford, przeczuwając niebezpieczeństwo, z wielką nieufnością odnosił się do sprawy wykorzystania energii atomowej. Gdy grupa inżynierów zwróciła się do Rutherforda z zapytaniem, jakie są możliwości zastosowania energii przemian promieniotwórczych, odpowiedział on dosłownie: „Rozkład atomowy jednego kilograma radu odpowiada zużyciu 100 milionów kg węgla. Na szczęście nie opanowaliśmy jeszcze technicznie tej przemiany. Osobiście nie pragnę, aby się to stało, zanim ludzie nie nauczą się żyć między sobą w pokoju". Działo się to 6 lutego 1916 roku. Przypuszczalnie pod wpływem tych samych uczuć Rutherford wypowiedział słynne zdanie, już niejednokrotnie cytowane przez prof. Joliot: „Ktokolwiek szuka w rozbijaniu atomu źródła energii — jest niepoprawnym marzycielem".

Nie jest nim jednak prof. Fryderyka Joliot, kiedy oświadcza na zjeździe, że fizycy całego świata uczynić muszą jak największy wysiłek, aby utrzymać w swoich rękach kierownictwo wszelkich badań naukowych, szczególnie w dziedzinie rozbijania atomu.

„Słowa zwątpienia prof. Marshake'a (St. Zjedn.) — „Nie wiemy, czy jutro będziemy panami sytuacji w dziedzinie nauki" — nie powinny wśród nas wytworzyć nastrojów pesymistycznych. Nie wolno kapitulować. I tu wyłania się istota — stwierdza w zakończeniu swego przemówienia prof. Joliot — problemu powiązania dobra nauki z przemianami społecznymi. Jestem zdania, że od systemu rządów zależy wolność nauki. Walcząc o wolność nauki nie zapominajmy o postępie społecznym, w tym nasze zwycięstwo".

J. N.

Dr MIECZYSŁAW JABCZYŃSKI

„Wiosna Ludów" w Niemczech

Rewolucja w Berlinie

Zadrżało w całych Niemczech zachodnich i południowych w owe marcowe dni r. 1848. Tłumne manifestacje, zgromadzenia wypełniały ulice i place starych miast i miasteczek. Zażywne mieszczuchy, studenci i młódź rzemieślnicza wszyscy przypasywali pasy i strzelby i pilnie ćwiczyli się w mustrze wojskowej. Każde miasto posiadało już swoją gwardię narodową. Lud zachłystywał się wolnością. Tu i ówdzie, w Wiedniu i w Dreźnie polała się już krew. Metternich, to uosobienie reakcji, już był uciekł z Wiednia, ale w Berlinie panował jeszcze spokój, pozorny spokój. Bo w dzielnicy studenckiej na północy, w dzielnicach wschodnich i południowych, gdzie skupiała się ludność rzemieślnicza i robotnicza już wrzało. Codziennie przybywały do miasta delegacje z różnych stron królestwa pruskiego, celem uzyskania u króla audiencji. Lecz zamek królewski jest pilnie strzeżony a patrole wojskowe przebiegają miasto. Wreszcie na wiadomość o wypadkach wiedeńskich, król Fryderyk Wilhelm IV, chwiejny i niezdecydowany, ulega. Ranne gazety z 18 marca przynoszą patent królewski zwołujący na dzień 2 kwietnia do Berlina zjednoczony sejm ze wszystkich prowincyj królestwa.

Wcześnie wypełniają się wąskie ulice starego miasta. Tłum śpieszy przed zamek, ażeby tu zamanifestować swą radość. Lecz pod zamkiem padają strzały. Tłum rozpierzcha się ogarnięty przerażeniem ale i wściekłością. Rychło powstają barykady. Rozpoczynają się krwawe walki uliczne, w których z jednej strony bierze udział wojsko karne i uległe rozkazom dowódców, z drugiej strony studenci, robotnicy i młódź rzemieślnicza. Wreszcie wojsko zaczyna wytaczać działa, padały pierwsze strzały armatnie. Przewaga przechyla się na stronę wojska. Atoli król załamuje się nerwowo. Każdy strzał budzi w nim lęk i powiększa jego przerażenie. Wydaje rozkaz wycofania się wojska do koszar i zaniechania walki. Lud rozpromieniony zwycięstwem rzuca się do bram więzienia na Moabicie i zwalnia zamkniętych tam więźniów politycznych. Największy entuzjazm wywołali więzieni tam od 2 lat Polacy Mierosławski i Libelt. W Polakach widzi lud berliński straż przednią w spodziewanej walce z caratem w obronie Polski i nowych rewolucyjnych Niemiec.

Król godzi się teraz na wszystko, czego się od niego żąda. Składa hołd przed ofiarami rewolucji w czasie ich manifestacyjnego pogrzebu, przyjmuje sztandar czarno-czerwono-żółty, barwy nowych zjednoczonych Niemiec i ogłasza manifest, w którym zapowiada podporządkowanie się Prus interesom Niemiec i demokratycznej konstytucji, która ma uchwalić parlament ogólnoniemiecki.

Parlament ten wybrany w drodze powszechnych wyborów zbiera się w maju we Frankfurcie nad Menem. Skupia on elitę umysłową Niemiec: dużo profesorów, posłów, poetów, pisarzy, świetnych mówców, mało działaczy ludowych, a żadnego przedstawiciela proletariatu. Toteż rozprawy tego parlamentu przewlekłe i górnolotne nie znajdywały oddźwięku w szerokich masach ludowych, które po porywie marcowym rychło popadły w bierność i tradycyjny serwilizm wobec owych książąt i królów.

Nie posiadał ten parlament żadnej egzekutywy a poszczególne państwa niemieckie (było ich 39) pilnie stały na straży swej suwerenności.

Po uchwaleniu wstępnych artykułów konstytucyjnych, nacechowanych najbardziej wzniosłymi ideałami wolnościowymi i równościowymi zaczęły się piętrzyć trudności, gdy przyszło nakreślić granicę zjednoczonych Niemiec. Podniósł zarazem głowę nacjonalizm niemiecki, ten wróg wszelkiej myśli szczerze postępowej i demokratycznej. Okazało się to w sprawie polskiej, w sprawie duńskiej i w sprawie narodów słowiańskich wchodzących w skład monarchii Habsburgów.

Ostatecznie w parlamencie frankfurckim po długich a jałowych sporach zwyciężyła dzięki solidarności posłów pruskich tzw. orientacja małoniemiecka, dążąca do zjednoczenia Niemiec pod opieką Prus za wyłączeniem Austrii. Ofiarowanej przez parlament korony cesarskiej Fryderyk Wilhelm nie przyjął oświadczając, że przyjmie ją jedynie z rąk sobie równych władców niemieckich a nie z rąk narodu.

Było to grobem dla parlamentu frankfurckiego a co za tym poszło dla ruchu rewolucyjnego w Niemczech. Austria i Prusy odwołały swych posłów z tego ciała. Drobna tylko garstka posłów ogłosiła republikę niemiecką. Słaby odruch ludności niemieckiej podjęty w tej sprawie w południowych Niemczech, w Badenii zdławiły z łatwością wojska pruskie. Po roku wszystko wróciło w dawne łożysko.

Rewolucja niemiecka w roku 1848 miała więc przebieg dziwnie łagodny a miejscami wręcz groteskowy. Przeminęły z wiatrem nazwiska licznych mówców, poetów i innych przywódców tej rewolucji. Przetrwały do dnia dzisiejszego tylko nazwiska dwóch osobistości na wielką skalę, związanych pośrednio z ruchem rewolucyjnym niemieckim z roku 1848, dwa przeciwstawne bieguny: nazwiska Karola Marksa, genialnego twórcy manifestu komunistycznego a w roku 1848 współredaktora Nowej Gazety Reńskiej w Kolonii i złowrogiego junkra pomorskiego Ottona Bismarcka w roku 1848 posła do pruskiego zgromadzenia narodowego, który po dwudziestu kilku latach miał sprusaczyć całe Niemcy i narzucić brzemię militaryzmu całej Europie.

W szklanym królestwie

Reportaż z huty szkła w Antoninku k/Poznania

Patrzymy codziennie przez szklane szyby na załzawiony świat ba, dotykamy ich nosem, gdy jest coś ciekawego do zobaczenia, użytkujemy tysiące innych, szklanych przedmiotów, ale zapewne rzadko nasuwa nam się pytanie, gdzie i jak produkuje się te nieodzowne przedmioty. Nie od rzeczy tedy byłoby poświęcić słów kilka „szklanej historii", tym bardziej, że podobnie, jak kiedyś mieliśmy epoki kamienia, brązu, żelaza, tak dzisiaj zbliżamy się do nowej epoki — epoki szkła. Kto wie, czy najbliższe dziesiątki lat nie przyniosą urzeczywistnienia wizji, zrodzonej w umyśle chorego Baryki z „Przewiośnia", kto wie, może nasze wnuki mieszkać będą w szklanych domach, używać szklanych mebli i narzędzi„ i w szklanych samochodach, na szklanych drogach będą rozbijać sobie nie-szklane kości.

Zostawmy jednak proroctwa na stronie. Jest inna, ważniejsza przyczyna, dla której winniśmy poświęcić uwagę nie tyle szkłu, ile raczej jego wytwórcom — tym szarym, nieznanym pracownikom, dla których huta jest całym światem, a płomienie, buchające z rozpalonego pieca są zapowiedzią nowych trudów, tytanicznych wysiłków i strumieni potu. Bo to kruche, łatwo tłukące się szkło wymaga niemniej ofiarnej pracy od twardej stali.

Kilka kilometrów za Poznaniem leży niewielka osada Antoninek. Na pierwszy plan wybija się kompleks budynków hutniczych, nad którymi króluje potężny komin. Smugi dymu głoszą, że w hucie wre praca. Rzeczywiście, chociaż wojna zniszczyła zakłady w 60 proc. ślady te zostały zatarte i tętno wytwórczości bije rzadko spotykanym rytmem. W styczniu 1945 roku samorzutnie stanęli do pracy miejscowi robotnicy, bez kapitału, bez pomocy z „góry" zabrali się do odbudowy, a dzięki wysiłkom takich robotników jak Świnarski (obec. kierownik) czy Gumowski (dziś dyrektor huty w Gostyniu) już w maju uruchomiono pierwszy piec. Nie można też pominąć zasług inż. Rostworowskiego z Dyr. Przemysłu Miejscowego, który pomocną dłonią i radą wspierał pionierów odbudowy. Dzisiaj możliwości produkcyjne wykorzystane są w stu proc., a planowane na najbliższe miesiące unowocześnienie huty pozwoli oszczędzić robotnikowi dużo trudu i podnieść produkcję i ilościowo. Tym bardziej godne podziwu, że w tak ciężkich warunkach, przy zgoła prymitywnych metodach zdołano osiągnąć tak imponujące wyniki.

Cyfry i fakty

W 1945 roku zatrudniano w hucie 60 robotników, obecnie pracuje na trzy zmiany 460, w tym 120 kobiet. Głównym produktem są butelki. I tak wykonano 14 i pół miliona butelek, ponad 4 miliony galanterii szklanej, a więc słoików, szklanek, kieliszków, talerzy kompotowych itp. W 1947 roku już do października wykonano plan roczny w 107 proc., po czym podwyższono go o dalsze 20 proc. i w pełni sprostano zadaniu. Wartość produkcji określa się sumą 200 milionów zł. Eksportowano za granicę — do Stanów Zjedn., Anglii, Szwecji, Krajów Bałkańskich, na Bliski Wschód — 20 proc. produkcji. Ponieważ rynek krajowy został w zupełności nasycony plan na r. 1948 obejmuje 80 proc. produkcji na eksport, 20 proc. na zaspokojenie potrzeb miejscowych.

Soda piasek i pot ludzki — trzy składniki szkła

Dzięki uprzejmości dyrektora mam możność zwiedzić hutę, innymi słowy zaglądnąć do każdego kąta. Zaczynam od szmelcerni. Tutaj przygotowuje się mieszankę, składającą się z piasku, sody i zależnie od gatunku szkła pewnych innych chemicznych domieszek. Piasek przed użyciem musi być wypłukany i przepalony, a to celem usunięcia szkodliwych składników. Przez przepalanie łuszczą się i pękają drobne ziarna piasku, co ułatwia proces topienia. Do tej mieszanki dodaje się pewną ilość tłuczonego szkła, poczem tęgie ręce szmelcerów niemniej tęgimi łopatami wrzucają ją do pieca hutniczego. Wyobraźmy sobie ogromny półmisek, przewrócony do góry dnem, vstawmy do niego potężne, z ogniotrwałej gliny zrobione wanny, napełnijmy ten półmisek ogniem o temperaturze ponad 1400 stopni, a będziemw mieli w przybliżeniu widok hutniczego pieca. Przy nim, jak roje much przy miodzie kręcą się i wiercą półnagie zlane potem postacie. Nie ujrzysz, by któryś z nich ocierał pot z czoła nie ujrzysz, by ktokolwiek wstrzymywał pracę dla nabrania tchu. Na tego rodzaju marnowanie czasu hutnik nie może sobie pozwolić.

Praca odbywa się zespołami — warsztatami. Trzeba jednak widzieć to fantastyczne, iście wariackie tempo, te błyskawiczne, skoordynowane ruchy rąk i nóg, bo najmniejsza nieuwaga, drobne zagapienie się może spowodować bolesne oparzenie. Więc wszystkie nerwy „w kupie", naprężona uwaga i tempo — zawrotne, oszałamiające tempo. Norma przewiduje na osiem godzin 1200 butelek dla zespołu, ba, nie brak takich, jak Błoch, wykonywujący normę w 114 proc., czy Bartnicki w 117 proc.

Życie społeczno-kulturalne

Z 560 pracowników 320 jest zrzeszonych w partiach i organizacjach. — Sprawnie działa świetlica, kółko sceniczne przygotowuje się do występu, czynna jest bibloteka, klub sportowy, organizuje się orkiestra. Dużo poczynań jest dopiero w zawiązku — mówi p. Kaczmarek — ale osiągniemy zamierzane cele. W najbliższych miesiącach zaczynamy budowę nowej, wielkiej świetlicy, która stanie się ogniskiem życia kulturalnego nie tylko pracowników huty, ale całego Antoninka.

Opuszczam mury huty, upewniony w jednej wielkiej prawdzie: polski robotnik chce i potrafi pracować i jeśli wszędzie poczucie obowiązku jest w ten sposób pojmowane, jeśli przy warsztatach pracy stoją podobni tym hutnikom możemy być spokojni o naszą gospodarkę.

Edmund Kulisz

Instytut Prasy Sp. Wyd. „CZYTELNIK" ogłasza konkurs na

opis współczesnej wsi polskiej

Instytut Prasy „Czytelnika" ogłasza konkurs na opis współczesnej wsi polskiej pod tytułem „OPIS MOJEJ WSI".

Celem konkursu jest zebranie prawdziwych i wyczerpujących danych o położeniu wsi polskiej na tle czasów od początku ostatniej wojny aż po dzień dzisiejszy. „Opisy wsi" mają służyć upowszechnieniu doświadczeń i przykładów dobrych oraz wytknięciu i naprawieniu zła; mają pomóc w wytyczaniu dalszej drogi rozwoju wsi polskiej.

KONKURS JEST POWSZECHNY

W konkursie mogą wziąć udział mieszkańcy wsi w Polsce. Niech wypowiedzą się ludzie różnych pokoleń, starsi i młodsi, rolnicy zarówno małorolni jak średnio-rolni, gospodarze i bezrolni, niech wypowiedzą się wszyscy, którzy są związani z życiem wsi: inteligencja wsi, pracownicy spółdzielni, poczty wiejskiej, zarządów gminnych, rzemieślnicy.

Udział w konkursie polega na spisaniu całej prawdy o przeżyciach wsi w minionych 9 latach i o jej życiu dzisiejszym. Wielki cel społeczny konkursu może być osiągnięty tylko pod warunkiem, że piszący będą szczerzy przy opowiadaniu przeżyć, szczerzy przy wypowiadaniu swoich poglądów, uwag wniosków i żądań oraz ściśli i rzetelni przy spisywaniu wiadomości, zdarzeń i liczb.

JAK PISAĆ?

Forma pisania i rozmiary „Opisów" nie są ograniczone. Jest pożądane, aby w „Opisach" nie było zbędnej rozwlekłości, aby piszący nie wysilali się na piękne słowa aby pisząc, nie myśleli o dogadzaniu czyjejś ciekawości lub swojej próżności, lecz tylko o podaniu szczerej prawdy.

Piszący może ograniczyć się do własnych przeżyć albo też omówić przeżycia gromady. Piszący nie jest ograniczony co do formy pisania. „Opisy" mogą mieć formę wspomnień, listu, sprawozdania czy zbioru wiadomości i faktów zdarzeń, liczb i uwag; mogą mieć każdą formę, odpowiadającą zdolnościom, zamiłowaniom czy umiejętnościom piszącego. Nie trzeba zrażać się trudnościami, słabym opanowaniem stylu, budowy zdań i błędami w pisowni. Z uwagi na bliski termin robót wiosennych trzeba chwycić za pióro od razu i poświęcić już pierwsze wieczory pracy nad „Opisem". Dorzucić później jedną i drugą myśl będzie już nie trudno. Jeżeli we wsi jest koło młodzieży lub jakiejś organizacji starszych, można warunki konkursu omówić na posiedzeniu koła i spróbować napisać we dwóch, trzech ludzi w imieniu danego koła

O CZYM PISAĆ?

Każdy pisze to, co sam uważa za właściwe. Uwagi, które podajemy poniżej, mają na celu ułatwić pisanie i przypomnieć o sprawach, które miały, lub mają miejsce na wsi:

A. Co się działo w latach ubiegłych?

Losy wsi podczas wojny i niemieckiej okupacji. — Przemiany na wsi po wojnie. — Odpływ ludzi na Ziemie Odzyskane. — Parcelacja z reformy rolnej 1944 i 1945 r. — Zniszczenia i odbudowa.

B. Dzisiejsze położenie gospodarcze wsi.

Co się sieje, sadzi i zbiera; co hoduje i zjada, co sprzedaje i co się kupuje? Dochody i rozchody? Jak wypadły urodzaje i zbiory w ostatnich latach? Czym się orze, sieje i młóci? Stan posiadania ziemi, koni, krów, maszyn rolniczych w gospodarstwach? Jak wygląda pomoc sąsiedzka? Rzemiosło, handel, spółdzielnia, młyn, fabryki na wsi. Stan długu hipotecznego, pożyczki na wsi, sposoby ich spłacania. Cena ziemi. Warunki i możliwości najmu do pracy? Zarobki za pracę stałą i sezonową. Z czego utrzymują się ci, co ziemi nie mają?

Warto też, aby piszący zastanowił się i opisał, jak ludzie żyją na jego wsi, jak się ubierają, jedzą, jak się komu powodzi.

C. Kulturalne i społeczne położenie wsi.

Szkoła, nauczyciel na wsi. Czytelnictwo gazety i książki. Światło, świetlica, kino, przedstawienie, radio, poczta we wsi. Stan zdrowotności. Stosunki rodzinne. Jak się układa życie społeczne i polityczne?

Jak się rozwija spółdzielnia Samopomoc Chłopska, inne organizacje? Jak się układa życie parafialne? Może kto napisze o sołtysie, o pracy gminy, o urzędach, o sądach, o służbie wojskowej. Czy we wsi jest porządek i ład?

KAŻDY PISZE O TYM, CO GO NAJBARDZIEJ INTERESUJE

Powyższe wyliczenie bieżących spraw wsi ani nie wyczerpuje spraw, które mogą nasunąć się piszącemu, ani nie oznacza, że każdy musi pisać o wszystkich sprawach. Każdy pisze to, co wie o swojej wsi czy gminie, na czym się najlepiej zna, lub też co go najbardziej interesuje.

WARUNKI KONKURSU I NAGRODY

1. Uczestnicy konkursu otrzymują zapewnienie, że materiały zawarte w „Opisie" nie będą użyte w żaden sposób, który by komukolwiek i czymkolwiek miał przynieść szkodę. Uczestnicy konkursu winni pamiętać, że ich opisy, ich świadectwo oddane prawdzie, ich poglądy, uwagi i spostrzeżenia mogą mieć nieraz poważny wpływ na życie polskie.

2. Nazwisko uczestnika konkursu nie zostanie ogłoszone bez jego zgody. Jeśli uczestnik konkursu chce, aby nie wymieniono nazwy wsi, o której pisze, winien sobie to zastrzec.

3. Do „Opisu" każdy uczestnik konkursu winien dołączyć kilka zdań o sobie), urodziłem się tam i tam, obecnie mieszkam, tu, zajmuję się tym a tym, i tak dalej) oraz podać swój adres.

4. „Opisy" należy przesłać na adres: „INSTYTUT PRASY „CZYTELNIKA", Warszawa, ulica Daszyńskiego 14. — Przyjmowanie „Opisów" otwiera się z dniem 1 kwietnia, a zamyka w dniu 1 lipca 1948 roku.

5. „Opisy" zakwalifikowane przez specjalną komisję naukową INSTYTUT PRASY zamierza wydać w formie książki oraz ogłosić w gazetach i czasopismach.

6. Za najlepsze „OPISY MOJEJ WSI", uznane przez komisję naukową, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" przeznacza nagrody w sumie 250 000 zł (dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych) a mianowicie:

Nagroda pierwsza	**zł 50 000**
Nagroda druga	**„ 25 000**
Nagroda trzecia	**„ 20 000**
Nagroda czwarta	**„ 15 000**
7 nagród po	**„ 10 000**
14 nagród po	**„ 5 000**

Poza tym przewiduje się oddzielne nagrody dla prac wykonanych przez koła organizacyj społecznych oraz 10 nagród dodatkowych po 5 tysięcy złotych (razem 50 000 zł) za dokładność opisów, faktów i zdarzeń, za wyczerpujące podanie danych liczbowych (na przykład: ilość gospodarstw do 2 ha, do 5 ha, do 15 ha i powyżej, bez konia, z jednym koniem i powyżej, stan posiadania krów itp.).

W świecie kobiety

Bielizna dla dzieci

Najmniejsze nawet resztki wykorzystać można przy szyciu bielizny dla dzieci. Oto dwie nocne koszulki dla dziewczynek od lat 3—10 (rys. 3). Koszulki te uszyć można ze starej własnej bielizny lub z resztek pozostałych od letnich sukienek. Tak samo piżamę nietrudno ładnie skombinować z resztek.

Od tego zacznijmy
wiosenne porządki

Szczególną właściwością pewnych pań domu jest to, że nie potrafią się rozstać z żadnym swym przedmiotem. Niejedna pani z satysfakcją gromadzi nawet najbardziej złędne drobiazgi, a nie ma odwagi czy siły, energicznie raz domu uporządkować.

W naszych dzisiejszych mieszkaniach jednak — bardziej niż starych „gratów" — potrzebujemy miejsca. Szuflady i szafy powinny pozostać pustsze i przygotowane na takie przedmioty, które nam się na coś przydadzą. Dlatego zalecamy raz po raz przejrzeć wszystkie zakamarki, aby rozstrzygnąć co można zostawić, a co wyrzucić.

Pewnie, że bardzo trudno zdecydować się oszczędnej pani, która stale ze starzyzny potrafi coś nowego wykonać. Starą odzież już nie noszoną — tylko rzadko można zupełnie wyrzucić. Z każdej bowiem choćby najlichszej szmatki można zrobić jeszcze coś pożytecznego.

Ale jaką wartość mają pozrywane nici, pomięte torebki papierowe, czy też kapsułki od butelek? Wypełniają wszystkie szuflady szaf kuchennych, wprowadzając nieporządek i utrudniając normalną pracę domową. Po co chowamy wszystkie stare pocztówki z życzeniami, czy listy? Czy na to, aby je na starość odczytywać? I w starszym wieku nie będziemy miały najmniejszej ochoty do tego. widząc je porozrzucane w takim nieładzie. A więc chowajmy niektóre z nich bardziej wartościowe czy więcej pamiątkowe, ale ułóżmy je porządnie w specjalnie do tego przeznaczonej teczce czy albumie. A co tu zrobić z olbrzymim stosem starych! krojów? Przejrzyjmy je jeszcze raz i stwierdźmy, czy modele na nich podane nie są już dawno przestarzałe. Jak bardzo przydałaby się nam nieraz szuflada, zawalona nieaktualnymi krojami!

W niejednym mieszkaniu znaleźć można wysłużone stare parasolki, garnki, które kiedyś chciałyśmy wyreperować, pędzle, których włosy rozpadły się w kurz, gdyż przechowywano je bez oczyszczenia. Prawda, że to smutne widowisko i w tak już małym, a bardzo zastawionym meblami mieszkaniu! Na to wszystko możemy Czytelniczkom poradzić rzuceniem jednego hasła, którego dźwięk mile i odświeżająco wpłynie na cały ten kurz i niepotrzebne graty, a mianowicie: wyrzucić! **D.**

Zestawienie obiadów

w czasie od 15. 3. — 21. 3. 1948.

15. 3. — poniedziałek: zupa selerowa, wątróbka, ziemniaki, marchewka.

16. 3. — wtorek: zupa grzybowa z kaszką w kostkę, łazanki z kapustą.

17. 3. — środa: zupa ogórkowa, zapiekanka z ziemniaków, kisiel owocowy.

18. 3. — czwartek: zupa z marchwi, leniwe pierogi ze serem, polane masłem.

19. 3. — piątek: zupa mleczna, placki ziemniaczane.

20. 3. — sobota: zupa z ziemniaków, biała kiełbasa, kiszona kapusta, ziemniaki.

21. 3. — niedziela: zupa jagodowa z kluskami, bitki wołowe z kaszą hreczaną, ogórek.

Smacznego!

Zapiekanka z ziemniaków. Ziemniaki ugotować w mundurkach, obrać, pokroić, dodać jaja, ugotowane na twardo i cebulę. Parę grzybów ugotowanych pokroić w paski. W rondlu wysmarowanym tłuszczem i wysypanym bułeczką, układać warstwami ziemniaki i jaja, dodając grzyby i cebulę — nie zapomnieć o posoleniu. Na wierzchu mają być ziemniaki. Dodać masła z margaryną czy smalcem i zapiec. Podawać z sosem. **(b)**

Kontynuujmy zwyczaj staropolskiego święconego

Polska słynęła zawsze z wielu pięknych zwyczajów rodzinnych i towarzyskich, jakie tradycja nasza przekazywała z pokolenia na pokolenie. Niestety, zamiłowanie do niej z latami wygasa i przyćmiewa pod wpływem czy to snobistycznych upodobań wszystkiego, co obce, czy też z powodu naszej bierności i... powiedzmy sobie szczerze — lenistwa, czy wreszcie częściowo z powodu braków materialnych.

Do takich ginących u nas tradycyj zaliczyć trzeba i tzw. „święcone". Widok kapłana, wstępującego w progi domu, gdzie zastawiony stół wiosennych darów przyrody oczekuje na jego błogosławieństwo — jest u nas coraz rzadszy. A rodowód jego można by odnaleźć bardzo głęboko w zwyczajach, jakie towarzyszą na ziemi budzącej się wiośnie. Idzie rolnik za pługiem, a słońce błogosławi czarnym skibom roli. Potem rzucane na rolę ziarno błogosławi ziemię swym siewem, aby bujne rodziła plony. W dnie krzyżowe wychodzą procesje wieśniaków do krzyżów przydrożnych prosić o urodzaj, o dostatek na cały długi rok.

Polska, związana więcej od krajów wybitnie przemysłowych z ziemią i jej produktami, powinna swą łączność z nią i wszystkim, co ona rodzi, tym silniej akcentować i tym pilniej przekazywać następnym pokoleniom, im więcej trudu tej ziemi poświęcić należy, aby wyżywiła cały, wielomilionowy naród. Nie wstydźmy się więc przy okazji wielkanocnych świąt pochylić głowy przy święceniu darów bożych.

Tym spośród nas, pań domu, które pracują, najciężej będzie zachować zwyczaj zastawienia i udekorowania stołu wielkanocnego, ale najciężej jest... powziąć decyzję. Zrealizowanie zamiaru nie zajmie nam zbyt wiele czasu i nie pochłonie zbyt wiele wysiłku, jeżeli pracę umiejętnie sobie zorganizujemy, a wydatki zawczasu obliczymy i skalkulujemy z ołówkiem w ręku.

Zachętą niech nam będzie m. in. myśl, że ładnie zastawiony stół wielkanocny — to podniesienie nastroju świątecznego. Trochę zieleni bukszpanu czy rzeżuchy, kolorowo (może nawet we wzory ludowe?) pomalowane jajka, baranek z masła czy cukru, zajączki, jakiś skromny kwiatek, święcona woda z kropidełkiem — i już miły zwyczaj przeszłości jest utrzymany. Nic to, że na tym stole wielkanocnym postawimy tylko trochę zapasów żywności, zakupionych na same święta w obliczeniu na kilka osób — przez umiejętną dekorację i dobór ich zachowamy piękną tradycję i przekażemy młodszym do naśladowania.

Mgr B. Tokarska

Z tajników mody męskiej
Dbajmy o wygląd swego towarzysza

Każda kobieta dbająca o to, aby być zawsze odpowiednio (choćby najskromniej!) ubraną, niewątpliwie troszczy się również, jak ubrany jest jej mąż, brat czy narzeczony.

W ubiorze dużą rolę grają... drobiazgi. Krawat! — właśnie on nadaje cechę indywidualną każdemu mężczyźnie. Dobrze dobrany i zawiązany, ubiera i ożywia garnitur męski oraz świadczy o wybrednym guście, nonszalancji czy zbytniej dbałości tego, kto go nosi. Natomiast — z drugiej strony, nic tak nie może popsuć całości, jak brzydki w kolorze i deseniu, niedostosowany krawat.

Mało ludzi (zwłaszcza mężczyzn) zdaje sobie sprawę z tego, że prawdziwa, spokojna, wytworna i kulturalna elegancja jest bez wątpienia wypływem artystycznych zamiłowań człowieka, dlatego — my, kobiety, w trosce o wygląd naszych ojców, mężów, braci — zwróćmy im uwagę, że mężczyzna naprawdę elegancki i pomysłowy posługuje się krawatem nie tylko w celu urozmaicenia swego stroju, ale również celem podkreślenia okoliczności, w jakich wypadnie mu się znaleźć i w zastosowaniu się do nich. Np. szary garnitur można ożywić krawatem, ale można też nadać mu cechę powagi. Krawat włóczkowy lub zrobiony z bardzo lekkiego materiału nadaje strojowi męskiemu charakter sportowy, a krawat poważniejszy, w tonach ciemnych, charakter bardziej oficjalny.

Istnieje ogromna różnorodność krawatów nie tylko jeśli chodzi o kolory i wzory, ale również co do materiałów, z których są zrobione.

Nie każdy mężczyzna może sobie pozwolić na krawat o zdecydowanym żywym kolorze i o śmiałym rysunku w „esy — floresy". Lepiej nosić krawaty spokojne, w pasy lub delikatne wzory geometryczne. Do ubrania sportowego radzę krawat w jasnym kolorze, we wzory niesymetryczne i żywe.

Nie można narzucać nikomu przepisów, bo jest to sprawa indywidualna. Trudno bowiem byłoby ustalić pewne wytyczne co do krawata, gdyż tu decydować musi własny gust, a „de gustibus non est disputandum". W każdym jednak razie istnieją pewne „kanony", których nie można pomijać. A więc: krawat nie powinien być skompletowaniem w kolorze ubrania, lecz przeciwnie — jego urozmaiceniem. W myśl więc tej zasady, np. do brązowego ubrania nie powinno się dobierać krawata o identycznym kolorze.

Tyle o krawatach długich. Są jednak panowie, którzy noszą tylko tzw. „muszki" lub „motylki". U nas w Polsce zwykle i na ogół nosi się je jako mniej oficjalną odmianę krawata, natomiast w Anglii i we Francji panowie wkładają „muszkę" do wykładanego sztywnego kołnierzyka i do... żakieta nawet. Oczywiście jest ona wtedy, we wzorze spokojna, a w kolorze żywsza, ale nie krzycząca. Noszenie takich właśnie „muszek" w kolorze żywym do żakieta, dodaje podobno strojowi dużo uroku i elegancji. **K. M.**

Dziecko i jego książka

Tak, jak troszczymy się o pożywienie dla naszych dzieci, z myślą, aby zawierało ono jak największą ilość pożytecznych składników, tak samo troskliwie dbać powinniśmy o wybór odpowiednich książek.

Musimy być przy tym wyjątkowo ostrożne, pamiętając o tym, że dziecko, obdarzone bogatą wyobraźnią, odczuwa każdą książkę głęboko. Nieraz na lata całe treść jej zapada mu w duszy.

Często można zauważyć osoby, kupujące książeczki dla dzieci, zawierające bajki dawniejszego typu. O Czerwonym Kapturku, o Śnieżce, śpiących królewnach itp.

Zastanówmy się, czy książki tego rodzaju odpowiadają wymaganiom współczesnej pedagogiki. Z pewnością nie!

W dobie ogólnych przemian — uległ gruntownej zmianie również i pogląd na tę kwestię: w innym duchu należy wychowywać młode pokolenie.

Zamiast bajki o sierotce i złej macosze lub o Kopciuszku — wyciskających potoki dziecięcych łez, dajmy naszemu dziecku prawdziwą historię np. z życia innych dzieci, może często mniej od niego szczęśliwych i wykorzystajmy jego gorące współczucie dla realnej sprawy, ucząc go w ten sposób miłości bliźniego.

Pamiętajmy o tym, że książka jest dla dziecka żywym przykładem, tak jak czyny otaczających go ludzi. Jedna z matek, która zresztą z całą troskliwością dobiera lekturę swemu 7-letniemu synkowi, opowiadała o tym, jak zaufała ekspedientowi znanej księgarni i ofiarowała swemu dziecku książeczkę, w której m. in. znalazło się takie zdanie: „Kuna napada nocą na kurniki i dusi kury. Nie wyrządza im krzywdy, bo ich nie zjada, wypija tylko krew".

Przytoczony urywek wskazuje dobitnie na to, że podarowaną dziecku książkę należy dokładnie przejrzeć, aby uniknąć tego rodzaju przykrych niespodzianek. Oczywiście, jest to zbyteczne, gdy w grę wchodzą znane w literaturze dla dzieci nazwiska: (Szelburg-Zarembina, Krzemieniecka, Makuszyński, Porazińska i inni).

Poza ideologią książki ważną niezmiernie jest jej forma. Książka dziecięca powinna być napisana stylem żywym i łatwym, a jakikolwiek obraz obierzemy za jej treść, musimy mu dać tło pogodne i słoneczne.

Unikajmy książek ponurych, przytłaczających przedwcześnie duszę dziecka.

Oczywiście, że na piękną całość książki składają się również ilustracje, na które wrażliwe estetycznie dziecko bardzo silnie reaguje. **D.**

Wywiad z oseskiem

W parku Wilsona uzyskałem wczoraj najdziwniejszy wywiad w moim życiu. Siedziałem na ławce, było ciepło i słonecznie. Obok jakaś niania z wózkiem, w wózku rozkoszne śpiące bobo.

W pewnej chwili niania poprosiła mnie, abym przypilnował wózka, gdyż chciałaby skoczyć do kiosku po „Modę i Życie", a dziecko śpi tak czujnie, że gdyby poruszyła tylko wózkiem — na pewno obudziłoby się. Prosząc mnie o tę przysługę, niania nie postąpiła bynajmniej lekkomyślnie, gdyż — o czym nie możecie wiedzieć — mam wygląd niesłychanie sympatyczny i wzbudzający zaufanie.

Ledwie zniknęła za zakrętem alei, bobas obudził się usiadł w wózku i począł rozglądać się ciekawie i przytomnie dookoła.

— Ptiu, ptiu, ptiu... — zacząłem cmokać doń najmilej, jak tylko umiałem. — A cus to dzidziuś suka, cus? Niani? Psyjdzie, niania, zaraz psyjdzie! Ptiu, ptiu, ptiu!...

— O rany! — westchnęło niemowlę. — Znów jakiś niemądry frajer! I czego pan tak „ptiuka"? Powiedz pan lepiej, gdzie się podziała Kryśka, nie poszła chyba z jakimś strażakiem na ksiuty, co? Oj, ta dzisiejsza służba! Ledwie przymknąłem oczy — już jej nie ma. To ma się nazywać pilnowanie dziecka?

Nie mogłem na razie przemówić ze zdumienia. Przyznacie chyba, że widok rocznego dziecka, przemawiającego w sposób tak bezapelacyjnie „dorosły", nie należy do widoków codziennych nawet w naszym wieku atomowym. W końcu przemogłem się i jakoś tam, bąkając, próbowałem ją usprawiedliwić.

— Dobrze już, dobrze — przerwało niecierpliwie niemowlę — nie gadaj pan tyle. Należy mówić krótko i jasno. Głędzisz pan jak byś był dziennikarzem.

— Bo... właśnie... jestem, proszę pana — pana Bobaska.

— Tylko nie bobaska, tylko nie bobaska! Osesek jestem, przepisowo rejestrowany w poradni zdrowia. — Nagle mój rozmówca przerwał, wołając radośnie gdzieś w stronę ulicy: „Tata z mamą! Tata z mamą"

— Co, rodziców pan ujrzał?

— Jakich tam rodziców?! Co Pan powie, to głupstwo! Nareszcie wódkę przywieźli samochodem do hurtowni na rogu. Najwyższy czas, bo już od trzech dni wydzielali tylko po pół litra. Ale o czym to ja chciałem... aha to pan jest ten — skrobipiórko! Dobrze, rozumiem, wszystko cacy, cacy, idziemy wzwyż i coraz lepiej, że plan i w ogóle, owszem, owszem, ale dlaczego to ja nie jem od kilku miesięcy kaszki mannej, co? Co się stało z kaszką manną? Dlaczego nie ma w sklepach kaszki pszennej, a?

— Trudno mi tak od razu powiedzieć — bąkałem — zapewne ograniczenia przemiałowe, z pszenicą krucho i...

— Tralala, tralala — bujaj pan dorosłych. Ale bułek pszennych to w sklepach pełno, co? To wy, stare konie, nie możecie trochę mniej tych bułek, a nam za to przydzielić od czasu do czasu kaszki, co? Nie możecie? Jaka to nowa granda kryje się za tym? Zdaje mi się, że tu trzeba będzie interwencji naszego Związku Zawodowego Osesków. Czekaj pan! — zawołał nagle mój rozgarnięty bobasek. — Kryśka już nadchodzi, muszę się kłaść i udawać, że nie umiem mówić. Tylko mnie pan nie wydaj!

— Dobrze, ale nie rozumiem dlaczego właściwie...

— Pan w ogóle nic nie rozumie! Myślisz pan, że pozwolili by mi robić w pieluszki, gdyby wiedzieli, że umiem wołać o nocnik?! **Jaski**

Kultura życia codziennego
Dotrzymać słowa...

Wszystkich tych, którzy słowa dotrzymują, można bez wątpienia zaliczyć do ludzi charakteru i pełnowartościowych. Ludzie tacy nie dają nigdy lekkomyślnie słowa, lecz wprzód się dobrze zastanowią, czy będą mogli je dotrzymać, aby tych, którzy liczyli się z ich słowem, nie zawieść. Sprawa dotrzymywania słowa dużo jeszcze u nas Polaków pozostawia do życzenia. Przyobiecać coś można zawsze — tak sądzi dużo osób — jest to wygodne, bo w ten sposób można się łatwo pozbyć proszącego czy też natręta, chociażby na krótki czas.

Nie tylko w stosunku do dorosłych może niedotrzymanie danego słowa powodować — nie waham się powiedzieć — często wprost zgubne następstwa, lecz także i w stosunku do dzieci. Szczególnie jeśli chodzi o dzieci należy stosować wszelkie środki ostrożności i nie zadawalać nigdy swoich pociech obiecankami, co do których wiemy, że wypełnić ich nie będziemy mogły. Wiele matek z różnych powodów, a szczególnie dlatego, by dzieci zadowolić i uspokoić, obiecuje im wszystko — bez jakichkolwiek ograniczeń — co oczywiście ujemnie wpływa na racjonalne ich wychowanie. Wszystkie dzieci bez wyjątku mają dobrą pamięć i nie zapominają tak łatwo o raz poczynionych obietnicach.

Najgorszą sprawą jest to, że taka matka traci raz na zawsze u dzieci zaufanie a przecież była dotąd ich największym autorytetem. W ten sposób zwiedzione dziecko znajdzie w końcu takie uzasadnienie: „Skoro mamusia słowa nie dotrzymuje, nie potrzebuję i ja mego dotrzymać!" Stąd wniosek, że dzieci należy wychowywać w tym kierunku, by rozumiały znaczenie raz danej obietnicy; trzeba je pouczać nie tylko słowem, lecz także przykładem, że obiecując, należy koniecznie słowa dotrzymać. **K. M.**

W kraju i za granicą

W Warszawie z okazji Święta Kobiet odbyło się 8 bm. szereg akademii, również w fabrykach. W czasie akademii odbyło się premiowanie kobiet obarczonych liczną rodziną oraz przodownic pracy. Zw. Zawodowy Metalowców nagrodził paczkami ze słodyczami wszystkie członkinie swego Związku. Inne związki wręczały nagrody pieniężne, żetony i dyplomy za wydajną pracę.

*

Doceniając ważność udziału kobiet wiejskich w podwyższeniu produkcji rolnej i kultury wsi instruktorki Zarządu Wojewódzkiego Z. S. Chł. w Bydgoszczy podjęły szeroką akcję propagowania współzawodnictwa pracy wśród kobiet wiejskich.

W dziedzinie współzawodnictwa o podniesienie plonu z ha ziemi, kobiety wiejskie postanowiły na akcję zwalczania chwastu przeznaczyć 6 tys. dniówek, podnieść wydajność mleczną krów oraz produkcję jaj, drobiu itp. Celem przeszkolenia i przygotowania przodownic wiejskich do samodzielnej pracy w terenie, zorganizowane będą 34 kursy społeczno-organizacyjne.

*

W konserwatorium genewskim odbędzie się od 20 września do 3 października br. Międzynarodowy Konkurs Muzyczny dla śpiewaków, pianistów, skrzypków, altowiolinistów i in. instrumentalistów. 43 najznakomitszych wirtuozów i pedagogów różnych państw bierze udział w jury. W sądzie konkursowym dla śpiewaków zasiada Ewa Bandrowska-Turska.

*

Do Polski przybyła przewodnicząca Organizacji Pomocy Dzieciom Polskim „Children World Community Chest" pani Eden. Zajmie się ona rozdziałem darów nadesłanych przez tę organizację do Polski. Dary obejmują ubrania, buty itp.

Premiera

Jarzą się okna teatru; w rozwartych drzwiach migają sylwetki wchodzących, coraz liczniejsze. Za kilka minut gong oznajmi początek premiery. Nastrój teatralnego wieczoru jest uroczysty, udziela się wszystkim. A ci wszyscy to areopag znawców, smakoszów teatru. W foyer toczą się rozmowy o premierze. Czy zaspokoi pragnienia teatromanów? Czy będzie uczitą.

Już drugi dzwonek. Jeszcze spieszą zadyszani, w gu zdejmują okrycia, a umęczone garderobiane z trudem wieszają ciepłe zimowe palta.

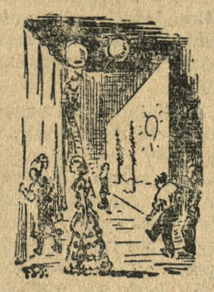

W tej pewno samej chwili tam za sceną aktorzy czekającego nas widowiska z drżeniem wyczekują gongu. Premiera, premiera.

Trzeci dzwonek mroczą się z sekundy na sekundę światła teatralnych korytarzy. Opustoszało, stłumiły gwary unoszące się wśród ścian. Jest cisza.

Gong wibrującym tonem łagodnie rozchodzi się po widowni. Jaśnieje rampa, majestatycznie unosi się kurtyna w górę... i na scenę wchodzi autor. Widownia w milczeniu wodzi oczami po scenie.

A tam?

Tam życie ludzkie przewija się, tam pokazuje swe oblicze człowiek ze wszystkimi swoimi wzlotami i upadkami.

*

Przerwa. Wypada „pokazać się". Wypada przemierzyć kilkakrotnie foyer. Już znowu rozgwarzyły się korytarze, zajaśniały kinkiety. Mówi się o minionym pierwszym akcie, dekoracji.. Lecz sądy są powściągliwe. „Zobaczymy, zobaczymy".

Kłęby dymu z papierosów wtłaczają się z hollu do foyer. Palacze są odważniejsi. Dym z papierosa ośmiela do wynurzeń.

„Świetnie zarysowana postać". „Ciekawa konstrukcja tego aktu". Ależ „ona" gra!

Nierzadko słyszy się „naczelnikowa ma znowu nową suknię".

*

Dzwonek! I znowu świeci rampa. Majestatycznie unosi się kurtyna; scena, te same postacie... toczy się akcja, toczy się życie obramowane kulisami.

*

Przerwa druga, trzecia...

Koniec, brawa, brawa... Wnoszą kwiaty. Ich barwy to barwy uznania i podzięki. I jeszcze brawa.

Tam za sceną aktorzy mówią na pewno „no, szczęśliwie poszło".

*

Przed teatrem klaksony grają melodię finału. Po stopniach z rozwartych drzwi wychodzą ci, których przed chwilą urzekło życie przybrane szminką.

Mówi się o premierze.

*

Za kilka minut pogasną światła teatralnych korytarzy. Zamkną się odrzwia. Sen i noc otuli pustą widownię. Pozostanie w niej tylko wspomnienie. Jutro życie znowu nałoży szminkę prawdy.

Tad. H. Nowak

Odznaczenia w średniowieczu

O poezji społecznej

Ballada wielce tragiczna

Raz do redakcji młody literat
Przyniósł liryczne wiersze.
I rzekł redaktor, poezji nie rad:
„Nie! mimo chęci najszczerszej".

I wytłumaczył :— „Ależ dlaczego
O ptaszkach pisze pan wiecznie.
Przecież ważniejsze, panie kolego,
Są dziś — problemy społeczne!

Po co w obłokach błądzić bez celu
Wzruszać zapachem się róży,
Przecież poezja Twa, przyjacielu,
Sprawie społecznej ma służyć".

Rady wysłuchał młody poeta,
Przyznał, że słuszna bezsprzecznie,
Nazajutrz pisać rozpoczął przeto
Na „zamówienie społeczne".

Natchnienie przyszło nań szybko nader
(Na które tak mało liczył)
Więc na początek stworzył balladę
O akcji przeciwgruźliczej.

A potem poszły cztery sonety
O czekoladach „E. Wedel"
O sulfamidach w życiu kobiety
O ORMO i R. T. P. D.

Powstał poemat 8-mio zwrotkowy
O ludach pustyni Gobi,
Potem o Radach wiersz Zakładowych
I o hodowli drobiu.

O faszystowskich w sztuce przejawach
O budowie fińskich domów,
O ziemniaczanej stonce na Kujawach,
O akcji zbierania złomu.

I o obuwiu dla świata pracy
I o teatrach ludowych,
O spekulantach (są jeszcze tacy!)
I o programie radiowym.

O konieczności czyszczenia ścieków
O groźbie brzusznego duru,
I o bolączce naszego wieku:
Akcji tępienia szczurów.

Więc do redakcji mknie nasz literat
Dźwigając nowe swe wiersze.
Lecz rzekł redaktor, wierszom tym nie rad:
„Nie — mimo chęci najszczerszej".

I wytłumaczył: — „Oto dlaczego
Nie mógłbym drukować pana:
Nasza publiczność panie kolego,
Jest trochę sfatygowana.

Dość nam problemów i aktualii
Sprawy społeczne ją nużą.
Trza, byśmy trochę ją rozbawiali
Ptaszkiem, obłokiem i różą"... —

Poeta spojrzał smętnie dokoła
I wyszedł stroskany wielce.
Wkrótce mnie doszła wieść nie wesoła,
Że się powiesił w łazience.

Wdzięczni rodacy na zimnej piersi
Brązowy zawieszą krzyż mu
Z napisem: „Oto — poeta pierwszy
Co umarł na brak liryzmu".

MIK

Uśmiech przedwiośnia

ANEGDOTKI

Przed pierwszą wojną światową królowa holenderska Wilhelmina, przyjechawszy do Berlina, została zaproszona na wielką rewię wojskową.

Na czele wojsk maszeruje oddział żołnierzy wysokich na sześć stóp. Wygląd zaiste groźny! Wilhelm II spogląda na młodą wówczas królową pytającym wzrokiem tak, jakby chciał powiedzieć:

— No i cóż? Co pani o nich powie? Królowa Wilhelmina uśmiecha się i potrząsa głową:

— Oni są jeszcze za mali!

W parę minut później maszeruje cały pułk tęgich dobranych żołnierzy, z których ani jeden nie mierzy mniej niż sześć stóp, pięć cali.

— Oni są jeszcze za mali! — powtarza królowa z uśmiechem.

— Za mali! — oburza się cesarz. — Ca pani chce przez to powiedzieć

— Chcę powiedzieć — tłumaczy królowa — że jeżeli my otworzymy nasze tamy, to głębokość wody na zalanych terenach wyniesie osiem stóp!

*

Sułtan Abdul Hamid, znany ze skąpstwa i chciwości, pewnego dnia udzielił audiencji posłowi amerykańskiemu, któremu nadał był niedawno wysoki order z brylantami. Brylanty te były zwykłymi szkiełkami, więc poseł poszedł do jubilera i polecił zastąpić je prawdziwymi brylantami. Podczas audiencji sułtan od razu spostrzegł tę zmianę, przywołał służącego i dał mu po cichu jakiś rozkaz. Gdy audiencja dobiegała już końca, służący wrócił, przynosząc wielkie etui. Odebrał je sułtan i zwrócił się do posła, mówiąc:

— Dzisiejsze tak pomyślne rokowania świadczą o szczerych uczuciach przyjaźni między obu naszymi rządami. By dać wyraz naszemu zadowoleniu, nadaję Panu wielką gwiazdę mojego orderu. — Mówiąc to, sułtan zdjął posłowi odznakę dawniej nadanego orderu z prawdziwymi brylantami i przypiął gwiazdę ze zwykłymi szkiełkami.

*

Oskar Wilde opuścił więzienie i zamieszkał w Paryżu w podrzędnym hoteliku d'Alasce.

Kiedy już portierka wiedziała, że poeta ma się coraz gorzej, na własne ryzyko zaprosiła dwóch francuskich lekarzy, którzy zaczęli badać chorego.

Podczas konsultacji, wiedząc, że mają do czynienia z Anglikiem, rozmawiali, nie krępując się po francusku. Aż oto jeden z lekarzy zwraca się do drugiego poufnie:

— Patrząc na ten pokoik w trzeciorzędnym hotelu, dochodzę do przekonania, że nie możemy tu liczyć na sute honorarium.

Usłyszawszy to Wilde rzecze:

— Przepraszam panów, nie fatygujcie się w takim razie. Już ja sam z własnych funduszów umrę.

Słownik przekorny

Artystka — dama bez listka.
Dygnitarz — człowiek do dygania, czyli ukłonów dyplomatycznych.
Fabrykant — specjalista od robienia kantów.
Minister — taki, który często zmienia ster.
Doskonała żona — zwykle opuszczona.
Podlotek — kaczka bez lotek.
Paniusia nabożna — gdy grzeszyć nie można.
Publicysta — taki, co swoje błędy kryje, a z cudzych korzysta.
Lekarz — Boże go nie karz.
Wójt — spec od bujd.
Subiekt sklepowy — wzór lśniącej głowy.
Tak zwana „powaga" — też śmieszna, gdy naga.
Ozdoba narodu — zakała za młodu.
Wariat — w przyszłości geniusz.
Kaczor — redaktor brukowej gazety.
Pałkarz — były szlachcic.
Hulajnoga — wodzirej tańca.
Kartki żywnościowe — obostrzona dieta dla ludzi zdrowych.
Obłąkany — urzędnik po piętnastym, często nawet wcześniej.

Przysłowia zreformowane

Gość w dom — Bóg z domu.
Przy wódce — łatwo o przywódcę.

STANISŁAW WITOWSKI

Z teki karykaturzysty

Halina Lubicz
Dyr. teatru
„Aktora i Lalki"

Żona: Ten Alfred to naprawdę nienasycony człowiek. Co tylko zobaczy, to zaraz chciałby mieć.

Mąż: To pokaż mu tylko naszą córkę

Ostrożnie z benzyną

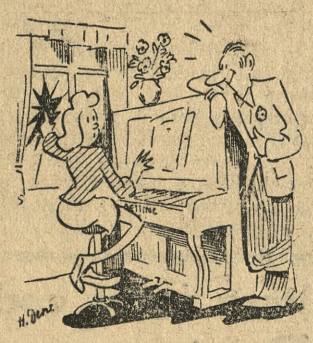

— Co za brutal z mojego sąsiada — wczoraj gdy grałam rzucił kamieniem w okno.
— A to dopiero dureń — teraz będzie jeszcze lepiej słyszał!

Ratunku! Milicja!!!

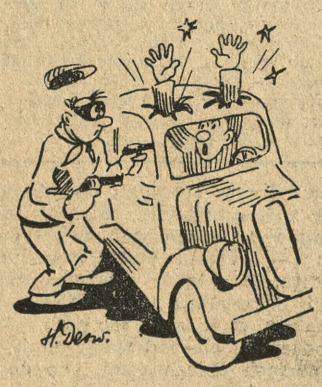

Historia widelca

Prawie tysiąt lat temu pojawił się widelec w użyciu w Europie. W roku 995 ożenił się syn doży weneckiego, Pietro Orseolo z księżniczką bizantyńską Argilą, siostrą cesarza Bizancjum. Podczas uczty weselnej posługiwała się księżniczka Argila przy jedzeniu łyżeczką ze szczerego złota oraz dwuzębnym widelcem. Wszyscy uczestnicy uczty weselnej posługiwali się jeszcze tylko własnymi palcami. Damy weneckie, idąc za przykładem księżniczki, pozamawiały u złotników widelce podobne do tego, jakim posługiwała się Argila.

Trwało jednak długo zanim widelec przedostał się do innych krain. Dopiero około 1360 roku przyjął się w całych Włoszech zwyczaj posługiwania się widelcem.

We Francji wszedł widelec w użycie około roku 1370 na dworze królewskim, a do domów mieszczańskich i szlacheckich przedostał się dopiero około 1550 roku. Do Anglii zawędrował widelec z Wenecji w roku 1608. W ogólne zaś użycie w Europie wszedł widelec dopiero w XVII stuleciu, gdy przestał być rzadkim ubraniem stołu, a wyrabiany z cyny czy stali, taniością swą i praktycznością zdobył sobie popularność u ogółu ludności.

— *Twoja żona musi być bardzo rozsądną*

— *O tak. Rozsądku posiada za dwoje.*

— *Całkiem zrozumiałe. Taka żona to dla ciebie w sam raz.*

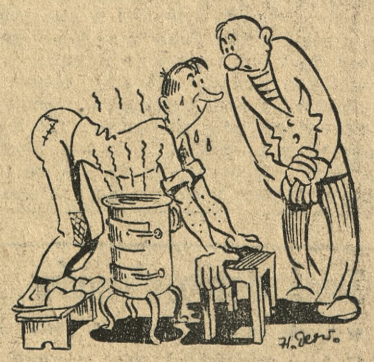

— Człowieku!... Co ty wyprawiasz???!!!!
— Nic... Podgrzewam obiad wczorajszy...

O kocich harcach w połowie marca

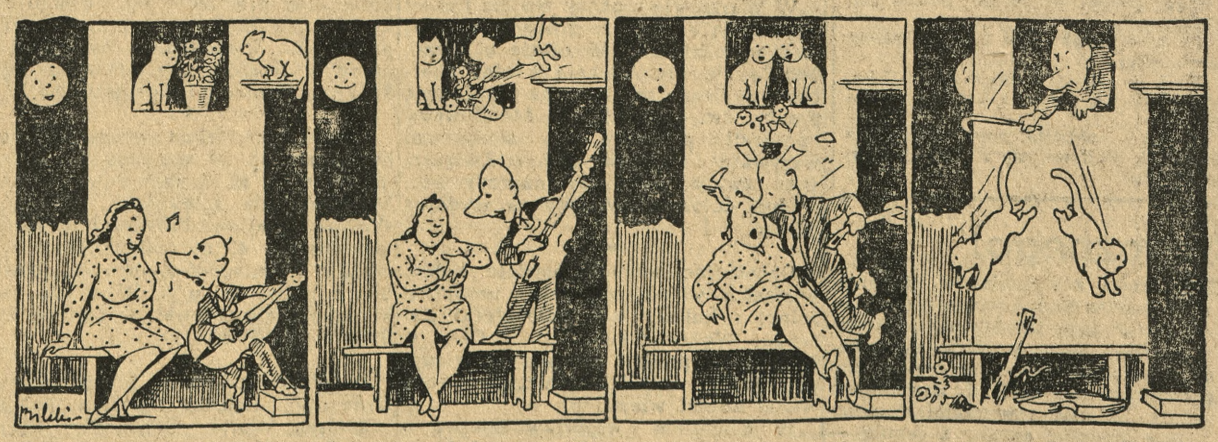

Śliwka nocą rozmarzony
Śpiewa pieśń u boku żony.

Na zew piosnki nader słodkiej
Przybiegł oto kot do kotki.

I doniczka z tej przyczyny
Spadła Śliwce na łysinę

Pantaleon więc za karę
Wygnał w świat marcową parę.